



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

KNYT HAMSUN  
NIEWOLNICY MIŁOŚCI  
• PRZEKŁAD Z. NIEDZWIECKIEGO •



<http://rcin.org.pl>

WRACHEL

<http://rcin.org.pl>

NIEWOLNICY MIŁOŚCI

<http://rcin.org.pl>

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

<http://rcin.org.pl>



KNUT HAMSUN

# Niewolnicy miłości

PRZEKŁAD

Z. NIEDŹWIECKIEGO

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 25-68-82

LWÓW  
NAKŁADEM KSIĘGARNI Powszechnej.  
WARSZAWA KSIĘGARNIA Powszechna.  
1907

749





Ja sama to pisałam, pisałam dzisiaj, by ulżyć sercu... Straciłam miejsce w kawiarni, straciłam moje szczęście.

Co wieczór przychodził do nas z dwoma przyjaciółmi młody pan w popielatym ubraniu i siadał zawsze przy jednym z stolików w moim dziale. Bywało w naszej kawiarni tylu młodych ludzi, z których każdy miał dla mnie w pogotowiu grzeczne słówko, on jeden tylko nie. Wysokiego wzrostu, smukły, miał czarne, miękkie włosy i oczy niebieskie, które czasem o mnie zawadzały, na górnej zaś wardze czernił mu się mały wąsik.

Z początku musiał chyba mieć coś przeciw mnie. Ale, że bywał codzień od ty-

godnia, przywykłam do jego widoku i brakło mi go, kiedy się jednego wieczora nie pojawił. Przeszedłszy wzdłuż umyślnie całą kawiarnię, by się rozejrzeć za nim, zastałam go aż na drugim końcu lokalu, pod jednym z filarów, gdzie siedział w towarzystwie damy z cyrku. Była ubrana w żółtą suknię i długie, powyżej łokcia, rękawiczki. Była młoda, miała piękne, ciemne oczy — moje zaś są niebieskie.

Zatrzymałam się chwilę przy obojgu, chcąc usłyszeć, o czym też rozmawiają: obsypywała go wymówkami, sprzykrzył się jej, dawała mu odprawę. „Najświętsza panienko!... czemuż do mnie nie przyjdzie?...“ — pomyślałam.

Najbliższego wieczora był znowu z oboma przyjaciółmi i usiadł przy zwykłym swym stole. Nie zbliżałam się do nich zrazu jak kiedyindziej, udając, że ich nie spostrzegam. Dopiero kiedy na mnie skinął, przystąpiłam do stołu i rzekłam:

— Pan u nas wczoraj nie był...

— Jaka ta nasza kelnereczka cudownie rozwinięta! — zwrócił się do towarzyszy.

— Panowie każą piwa? — spytałam.

— Ma się rozumieć.

Przyniosłam trzy kufle.

Upłynęło dni kilka.

Aż tu jednego wieczora daje on mi swój bilet wizytowy, przykazując:

— Zanieś panienska to...

Nim wszakże zdążył, co chciał, dopowiedzieć, wzięłam podaną kartę i zanioślam ją prosto do damy na żółto. Przez drogę udało mi się jednak odczytać jego nazwisko: Włodzimierz F.

Kiedym wróciła, utkwił we mnie pytające spojrzenie.

— Oddałam — rzekłam.

— I nie otrzymałaś pani żadnej odpowiedzi?

— Żadnej.

Dał mi jednomarkówkę i zauważył z uśmiechem:

— Brak odpowiedzi to czasem także odpowiedź.

Przesiedział cały wieczór z wzrokiem uparcie utkwionym w stronę cyrkowej damy i jej towarzystwa. O jedenastej wstał i poszedł do jej stolika. Przyjęła go chłodno, natomiast dwaj siedzący z nią panowie wszczęli z nim gawędkę, wśród której zdawało mi się, że z niego pokpiwają... Kiedy, zabawiwszy tam kilka minut, wrócił, powiedziałam mu, że do jednej z kieszeni jego letniej zarzutki nalano mu piwa. Zdjął ją natychmiast a zwróciwszy się w stronę stolika cyrkówki, patrzył tam przez chwilę. Wtem spostrzegł mnie zajętą osuszaniem mu zarzutki, uśmiechnął się i wyrzekł:

— Dzięki ci, niewolnico!

Pomagając mu ją napowrót przywdziać, pogłaskałam go po plecach nieznacznie.

Usiadł. Był roztargniony. Jeden z jego przyjaciół zażądał piwa, wzięłam więc kufel i sięgnęłam równocześnie po szklanke

Włodzimierza. Wstrzymał mnie jednak i powiedziawszy:

— Nie trzeba — położył dłoń swą na mojej ręce. Lecz kiedy ręka moja opadła za tem dotknięciem, spostrzegłszy to, cofnął swoją natychmiast.

Kładąc się spać, tej nocy, zmówiłam za niego na klęczkach dwa pacierze i bardzo szczęśliwa, ucałowałam prawą moją rękę, tę, której dotknął.

---

Raz znowu dał mi kwiaty, masę kwiatów. Kupił je od kwieciarki zaraz za przybyciem, zabierając jej prawie cały zapas. Były świeżutkie, same pąsowe. Ułożył je na stole obok siebie. Tym razem nie było z nim żadnego z przyjaciół. Ilekroć, dnia tego, dorwałam chwilki czasu, stawałam zaraz za którymś z filarów i wpatrywałam się w niego, myśląc:

— Nazywa się Włodzimierz F.

Tak zeszła może z godzina. Widząc, że spogląda raz po raz na zegarek, zapytałam:

— Pan oczekuje kogo?

Rzucił na mnie półnieprzytomnym wzrokiem i rzekł:

— Nie, na nikogo nie czekam. A dla-  
czego?

— Przyszło mi na myśl, że pan może  
na kogoś czeka...

— Chodź no pani tu — odrzekł zna-  
gła. — To dla pani...

I dał mi owe kwiaty.

Podziękowałam, ale nie będąc w sta-  
nie głosu z siebie dobyć, szepnęłam  
tylko. Jak krew pąsową radością na  
wskrós przejęta, pobiegłam, bez tchu  
w piersiach, przed bufet, z którego miała  
coś przynieść.

Widząc, że nic nie mówię, bufetowa  
do mnie:

— Cóż pani dać?

Ba! żebym sama wiedziała!... Chwy-  
ciłam się jednak wykrętu:

— Jak się też pani zdaje?

— Jak mi się zdaje? — odparła, wy-



patrzywszy się na mnie. — Czyś pani zwa-  
ryowała?...

Przerwałam jej:

— E, zgadnij pani lepiej, od kogo do-  
stałam te kwiaty?

W tej chwili starszy kelner przebiegł  
koło mnie i rzucił w pośpiechu:

— Zapominasz panna o piwie dla pana  
z drewnianą nogą.

— Dostałam je od Włodzimierza, —  
rzuciłam spiesznie bufetowej i oddaliłam  
się z piwem.

F. jeszcze nie poszedł, lecz widząc, że  
się zabiera, podziękowałam mu po raz  
drugi. Zmieszał się tem i odrzekł:

— Kupiłem je właściwie dla innej.

I cóż stąd? Być może, że je dla innej  
kupił, lecz ja je dostałam. Ja, nie ta, dla  
której zostały kupione. Więc miałam chy-  
ba wszelkie prawo dziękować mu za nie...  
Dobranoc, Włodzimierzu!

Nazajutrz zrana padał deszcz.

— Którą ubrać sukienkę... czarną? czy

zieloną?... — była pierwsza moja myśl. — Zieloną wezmę, nowsza. Tak jest, ubiorę się w zieloną.

Byłam taka wesoła!

Na tramwajowym przystanku zastałam jakąś panią, czekającą na deszczu na wóz. Nie miała parasola. Poprosiłam, aby się schowała pod mój, podziękowała mi jednak. Wtenczas zwinęłam parasol, aby czekać jak ona. Nie będzie w ten sposób moknąć sama jedna — myślałam.

Wieczorem Włodzimierz przyszedł do kawiarni.

— Dziękuję panu za kwiaty — przywitałam go z dumą na samym wstępie.

— Jakie kwiaty?... — zadziwił się. — Ach, te... Dałabyś pani lepiej pokój tym kwiatom...

— Chciałam tylko podziękować — tłumaczyłam się.

Odpowiedział wzruszeniem ramion, dorzucając:

— Nie kocham cię, niewolnico.

Nie kochał mnie!... nie!... Nie oczekiwałam na to jednak bynajmniej, więc się nie czułam zawiedziona. Dosyć mi było, że go mogę widywać w każdy wieczór, że siada przy jednym z moich stołów, że mu podaję piwo. Do widzenia, Włodzimierzu...

Najbliższego wieczora przyszedł bardzo późno i spytał mnie po kilku zaraz słowach:

— Masz ty dużo pieniędzy, niewolnico?...

— Niestety, nie mam. Jestem biedna dziewczyna.

— Nie zrozumiałaś mnie pani. Potrzeba mi do jutra pewnej kwoty.

— Pewną kwotę bym miała... Mam nawet sporą kwotę... Mam w domu uskładane sto trzydzieści marek...

— W domu?... nie przy sobie?...

— To nic. Proszę zaczekać kwadransik i pójść ze mną po zamknięciu kawiarni. Zaczekał i poszliśmy.

— Tylko sto marek — mówił, trzymając się całą drogę blisko mnie, nie puszczając mnie naprzód, ani zostawiając w tyle.

Skorośmy stanęli przed bramą, uprzedziłam go:

— Moja izdebka jest bardzo malutka...

— Nie mam bynajmniej zamiaru iść do pani... Zaczekam tutaj — odrzekł.

Zaczekał.

Przeliczywszy pieniądze za mym powrotem, zauważył:

— Jest więcej niż sto marek. A no, masz pani tutaj odemnie dziesięć marek napiwku. Tylko proszę pamiętać: daję pani te dziesięć marek jako napiwek.

Dał mi je w rzeczy samej wśród życzeń dobrej nocy, i poszedł. Zobaczyłam jeszcze, jak, przystanąwszy na rogu ulicy, dawał markę starej, kulawej żebraczce.

Ubolewał ogromnie w następny wieczór, że nie może mi zwrócić pożyczonych pieniędzy. Podziękowałam mu za

to, że nie może. Nie ukrywał się z tem wcale, że je przehulał.

— Co robić, niewolnico?!... — uśmiechnął się. — Zresztą pani przecie wiesz najlepiej: żółta dama...

— Czemu ty naszą kelnereczkę przezywasz niewolnicą? — wtrącił się jeden z jego przyjaciół. — Sam jesteś przecie większy niż ona niewolnik...

— Piwa?... — wzięszałam się.

Niedługo potem weszła do sali żółta dama. Na jej widok zerwał się z krzesła i ukłonił, ona zaś przeszła mimo i usiadłszy przy jednym z wolnych stolików, wsparła oń równocześnie poręczami dwa odwrócone krzesła. F. jednak podszedł do niej zaraz pomimo tego i postawiwszy napowrót jeden z stołków, usiadł. Nie upłynęły wszakże nawet dwie minuty a podniósł się i odchodząc, wyrzekł na głos:

— Dobrze więc, idę. I nigdy już nie wrócę.

— Dziękuję — odrzekła.

Z radości nóg pod sobą nie czując, pobiegłam do bufetu, bąknąc, sama już nie wiem co. Pewno musiałam kasyerce powiedzieć, że Włodzimierz już nigdy do tej z cyrku nie wróci. Starszy kelner, znalazłszy się jak raz w pobliżu, zburczał mnie ostro. Lecz co ja sobie robiłam z tego!

Kiedyśmy o 11-ej lokal zamknęli jak zwykle, F. przyłączył się do mnie zaraz na ulicy i odprowadził pod samą bramę.

— Pożycz mi pani pięć marek z tych dziesięciu, jakie pani wczoraj dałam — rzekł.

Dałam mu całe dziesięć. Wziął, wręczył mi jednak zaraz napowrót pięć, jako napiwek, nie zważając na moje sprzeciwianie się.

— Takam dzisiaj czegoś wesoła — wyrwało mi się. — Gdybym też pana poprosiła, żeby pan ze mną na górę poszedł... Mam wprowadzić bardzo malutki pokoik...

— Nie mogę z panią iść na górę —  
odrzekł: — Dobranoc.

Oddalając się, przeszedł i tym razem koło starej żebraczki, lecz nie dał jej już nic, choć mu się nisko pokłoniła. Podbiegłszy, dałam jej jednak sama parę miedziaków i rzekłam:

— To od tego pana, co przeszedł. Od tego w popielatem ubraniu.

— W popielatem?...

— Tak jest, z czarnymi włosami. Od pana Włodzimierza.

— Pani jest jego żoną?

— Nie, ja jestem jego niewolnicą.

Przez kilka wieczorów z rzędu utyskiwał, że długu nie może oddać. Prosiłam, aby mi tego rodzaju słowami nie czynił przykrości, gdyż mówił tak głośno, że wszyscy go mogli słyszeć i kilka osób nawet śmiało się z niego najwyraźniej.

— Nicpoń jestem, gałgan — mówił. — Pożyczyłem od pani pieniędzy a teraz nie mam skąd zwrócić. Dałbym sobie od-

rąbać prawą rękę za banknot pięćdziesięciomarkowy.

Bolało mnie słyszeć z jego ust takie rzeczy; zaczęłam przemyśliwać, skądby taką kwotę wytrzasnąć. Lecz było to całkiem niemożliwe.

Po chwili odezwał się znów do mnie:

— A gdybyś mnie pani spytała, co u mnie nowego, to... Żółta dama wyjechała razem z cyrkiem. Nie myślę już o niej wcale, wybiłem to sobie z głowy.

— Co ci nie przeszkodziło napisać do niej dzisiaj jeszcze jeden list — przerwał mu jeden z przyjaciół.

— Ostatni.

Kupiłam u kwieciarki różę i poszłam mu ją przypiąć na klapie u lewej piersi. Lecz ciepło jego oddechu na mych palcach tak mnie zmieszało, że nie byłam w stanie szpilki umocować.

— Dziękuję — rzekł.

Poprosiłam w kasie o trzy marki, jakie mi się jeszcze należały i da-



łam mu je. Była to oczywiście bagatelka.

— Dziękuję — powtórzył.

Czułam się bardzo szczęśliwa cały wieczór, gdy naraz Włodzimierz zwrócił się do mnie:

— Wyjadę za te trzy marki na tydzień. Skoro wrócę, odbierzesz pani swoje pieniądze.

A widząc moje poruszenie, dodał:

— Panią jedną kocham.

I chwycił mnie za rękę.

Wyjazd ten zaniepokoił mnie ogromnie, zwłaszcza że mimo moich nalegań nie chciał mi powiedzieć, dokąd się udaje. Kawiarnia, goście, wszystko poczęło tańczyć dookoła mnie. Nie mogąc zapanować nad sobą, porwałam go błagalnie za rękę:

— Wrócę do pani przed upływem tygodnia — uspokoił mnie, wstając od stołu.

W tej samej prawie chwili wpadło mi w uszy oznajmienie starszego kelnera:

— Opuści nas panienska w przeciągu dni czternastu.

A niech tam! — pomyślałam. Cóż mi to teraz szkodzi. Włodzimierz wraca za tydzień! Aby mu za to podziękować, obejrzałam się za nim, ale nie było go już w kawiarni.

— — — — —

W tydzień potem zastałam w domu list od niego. Pisząc w najrozpaczliwszy sposób, wyznawał, że pojechał za żółtą damą, że nigdy już, nigdy, nie będzie w stanie zwrócić mi moich pieniędzy, że nędza złamała go zupełnie... W dalszym ciągu nazywał sam siebie duszą nikczemną, podpisał się zaś na zakończenie listu: „Niewolnik żółtej damy“.

Poczęłam strasznie cierpieć we dnie i w nocy, nie wiedząc, co teraz począć. W tydzień potem musiałam opuścić dotychczasowe miejsce i obejrzeć się za innym. Za dnia zgłaszałam się po innych kawiarniach i hotelach, dzwoniłam także

do prywatnych mieszkań, prosząc o służbę. Nie sprzyjało mi szczęście. Późnym wieczorem, nakupiwszy tanich gazet, wróciłam do domu i zagłębiłam się w anon-sach, myśląc: — Może mi się przecież powiedzie ocalić Włodzimierza i siebie...

Naraz wyczytuję wczoraj wieczór w jednym z dzienników jego nazwisko i tę wiadomość o nim... Udałam się tam naturalnie natychmiast przez Bóg wie ile ulic, wróciłam zaś dopiero dziś rano. Musiałam zapewne spać gdzieś w ciągu nocy albo przesiedzieć na jakich schodach parę godzin, nie mając sił iść dalej, lecz wyleciało mi wszystko z pamięci.

Dziś przeczytałam to znowu, lecz wczoraj, odczytawszy zaraz za przyjściem do domu po raz pierwszy, załamalam ręce i padłam na krzesło. Po chwili usiadłam na ziemi i o stołek wsparta, poczęłam bić dłońmi na płask o podłogę, myśląc o tem jednym. A mozem i nic nie myślała? Głowę mą bowiem wypełniał ogłu-



szający szum tak, że nie wiedziałam zupełnie, co się ze mną dzieje.

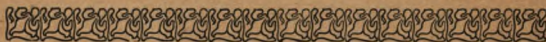
Dźwignąwszy się wreszcie, wyszłam. Na dole, na rogu ulicy — to jedno przypominam sobie dokładnie, — dałam starszej żebraczce grosz, mówiąc:

— To od tego pana w popielatym ubraniu... Wiecie już...

— Panienska pewnie jego narzeczona? Potrzęsłam głową:

— Nie, jestem wdową po nim.

Calutką noc chodziłam po ulicach. A teraz przeczytałam to raz jeszcze. Nazywał się Włodzimierz F.





## ARCYFILUT.

Kochany czytelniku!... Spotkałem tego człowieka pierwszy raz w życiu na cmentarzu i nie czyniłem, na honor, nic, by się do niego zbliżyć, lecz on to sam zaokupował moją osobę skwapliwie, kiedy, sadowiąc się na ławce, na której przedemną już siedział, zwróciłem się do niego z zdawkowem pytaniem:

— Czy panu nie przeszkadzam?...

— O, bynajmniej — podchwycił i zrobił mi coprędzej miejsce. — Przypatrywałem się właśnie tym oto skarbowi bez życia...

Wskazał groby ruchem ręki.

Byliśmy na cmentarzu Krist.

Im wyżej ku zenitowi posuwał się ronek, tem bardziej zwiększał się ruch u naszych stóp. Murarze i robotnicy schodzili się jeden po drugim, stary dozorca siedział już w głębi swej budki. Tu i owdzie można było widzieć kobiecą postać w czarnych sukniach, zajętą sadzeniem lub podlewaniem kwiatów albo też przycinaniem nazbyt wybujałej trawy. Między konarami wysokich kasztanów ćwierkało ptactwo.

Nie znałem go wcale. Był to człowiek młody, barczysty, z nieogoloną twarzą; w nieco znoszonym ubraniu. Zmarszczki na czole, ton mowy poważny, nałóg mrózenia oczu, jakby w zadumie, gdy mówił, nadawały mu, jak to powiadają, wygląd starości i doświadczenia.

— Pan nietutejszy? — spytałem.

— Spędziłem dziewięć lat zagranicą.

Rozparł się wygodniej na poręczu, wyciągnął nogi i patrzył w cmentarz. Z kie-

szeni surduta wyglądały mu dzienniki niemieckie i francuskie.

— Jakżeż to smutno na takim cmentarzu? — ozwał się. — Tylu nieboszczyków na niedużym kawałku ziemi. Tyle uśmierconych sił, które działy tak mało.

— Jak pan to rozumie?

— W tem miejscu grzebią żołnierzy.

No tak; wieczne odpoczywanie im — pomyślałem.

On zaś mówił dalej:

— Ale najhaniebniejszym z wszystkiego jest ów kult, którego przedmiotem czyni się osoby zmarłych, i sposób, w jaki się ich oplakuje.

— Pobożność bez celu.

Wyprostował się nagłym ruchem.

— Wie pan, że na tych grobach leży nagromadzony cały majątek w granicie? Sieje się dla umarłych kwiaty na cmentarnym piasku, stawia u mogił wygodne ławki, by na nich wysiadywać, roniąc

łzy czule, wznosi się święte bożyszczą z górskich łomów w Greffen: cała fortuna w kamieniu, wolna od długów. Bo cmentarzowi mniej niż jakimukolwiek miejscu w mieście zagraża bankructwo. Daje to panu to i owo do myślenia, wszak prawda? Bogactwo, proszę pana, raz tutaj ulokowane, staje się nietykalnem, bo jest martwe, i przepada tu na wieki. Potrzebuje jeszcze tylko administracyi, to znaczy pilnowania, no i trochę łez, kwiatów, które obumierając dokoła na kopcach piasku, więdną przedwcześnie. Spokasz pan między nimi wieńce do ceny 50-ciu koron sztuka!

Socyalista! — pomyślałem. Wędrowny czeladnik, który w czasie pobytu za granicą nauczył się gardłować na kapitał. „Kapitał“.

— Czy pan w mieście naszym obcy? — spytałem go.

— O tak.

Rozsiadłszy się wygodnie, jak przed



chwilą, zmrużył oczy i utonął w zadumie.

Para staruszków przesunęła się mimo nas; oboje o laskach, zgarbieni, z nabożnemi minami, szepcący do siebie; pewno rodzice, przybyli na grób dziecka. Wiatr po cmentarzu przeleciał, wzbijając w górę pył i resztki zwiędłych kwiatów, i zaszeleścił spadłymi liśćmi, pokrywającymi ścieżki, wysuszone słońcem.

— Patrz pan — przemówił naraz, nie zmieniając pozy, z poruszeniem ócz tylko — czy widzisz pan tę damę, co się tu do nas zbliża? Uważaj pan proszę, skoro będzie mimo nas przechodzić.

Nie było nic łatwiejszego. Otarła się niemal o nas w przechodzie swą czarną suknią a powiewający dokoła jej głowy welon żałobny musnął nasze kapelusze. Towarzyszyła jej mała dziewczynka, niosąca kwiaty, za oboma zaś postępowała w niejakiem oddaleniu starsza kobieta z grabkami i polewaczką. Wszystkie trzy

zniknęły niebawem na skrócie alei ku niższej części cmentarza, co widząc, zapytał mnie mój sąsiad:

— I cóż?

— Co?

— Nic pan nie zauważyłeś?

— Nic niezwykłego. Przypatrzyła się nam.

— Przepraszam bardzo, mnie się przypatrzyła. Uśmiechasz się pan, mając niezawodnie ochotę zapewnić mnie, że o ten szczegół nie pójdziemy obaj do wójta. Otóż rzecz się ma tak, uważa pan: ta pani przechodziła tędy tak samo jak dziś przed kilku dniami. Siedziałem tu na ławce, gawędząc z jednym z grabarzy, w którego głowę starałem się wszczepić odrobinę pogardy dla jego szacownego rzemiosła.

— A to po co?

— Ponieważ najniepotrzebniej w świecie dziurawi ziemię gwoli umrzykom a na

szkodę żyjących, co mogliby z niej mieć jaki taki pożytek.

Biedny, wykolejony wolnomyśliciel! — zdecydowałem w duchu. Bo w jakimż prawie boskiem czy ludzkim zapisane jest, by zmarłym skąpić po śmierci marnego sążnia ziemi na grób? Nie, zaczynamsz mnie wreszcie nudzić, bratku.

— Siedzę sobie tedy, jak mówiłem, i gawędzę z grabarzem. To, co robicie, złe jest — mówię właśnie — gdy w tem przybliża się owa dama. Usłyszawszy moje słowa, wpatrzyła się we mnie uważnie, nazwałem bowiem głośno złem, co się wyrabia po cmentarzach, więc w miejscu świętem. Ale à propos: czy zauważyłeś pan za nią tę starowinę z grabiami i polewaczką w spracowanych rękach? Te jej plecy zgarbione! Istota ta postradała — dosłownie — siły i zdrowie na znojnym rozgrzebywaniu cmentarnej ziemi, aby ją zmienić w ugór. Widziałeś pan przecie. Szła jednak w pełnej szacunku odległości

czterech kroków za dostojną damą, zdążającą odprawiać żale pod jakimś marmurowym nagrobkiem. — Właściwie jednak o co innego tu chodzi... Czyś pan zwrócił uwagę, co niosła ta mała dziewczynka?

— I owszem. Kwiaty.

— Kamelie. Róże. Musiałeś je pan rozróżnić. Kwiaty po koronie jeden. Szlachetne kwiaty o nadzwyczaj delikatnem życiu, umierające natychmiast, skoro je słońce przypiecze. Za trzy dni trzeba je będzie za mur wyrzucić, zastępując innymi. Co za koszt!

Odparłem wolnodumcy:

— Piramidy egipskie były przecież daleko kosztowniejsze.

Słowa te nie wywarły na nim spodziewanego przezemnie wrażenia. Zdaje się, że musiał już kiedyś słyszeć podobny argument.

— Ba! w owych czasach nie było dzisiejszej nędzy! — zawołał. — Egipt zresztą

był spichrzem zbożowym całego państwa rzymskiego. Na świecie było podówczas jeszcze dość przestrono... Ja zaś miałbym o tem niejedno do powiedzenia, jak ciasną nam dzisiaj ziemia. A potem w ogóle: co innego piramida w pustyni, co innego nowoczesne wycieczki na cmentarz. Obejrzyj się pan tylko po nim: setki mogił, na nich nagrobki za grube sumy, statuy i obeliski z granitu za dziesiątki i setki koron. Nie mówiąc już o złotych napisach ani o wyrafinowaniu kamiennych kolumn, gładzonych, lub z grubszą ciosanych tylko, wyżłabianych i gładkich, czerwonych, zielonych, białych... Spojrz pan wreszcie choćby tylko na tę masę darniny!... Mówiłem o tem z grabarzem, który do tego stopnia umiał zagarnąć handel nią w swoje ręce, że prawie niepodobna gdzieindziej niż u niego kawałka murawy dostać. Owóż zastanów się pan, proszę, co darń zielona dla ziemi oznacza: ona jest jej życiem!

Ośmieliłem się w tem miejscu wtrącić, że wszystkim tym objawom nie brak pewnej poezyi i że ma to, bądź co bądź, pewne znaczenie obyczajowe, gdy ludzkości żyjącej jeszcze bodaj kawałek trawnika dla ukochanych zmarłych zostaje. Jestem tego zdania po dziś dzień.

— Proszę pana — odparł mi gwałtownie — to, co się tutaj codziennie roztrwania, starczyłoby na życie setkom rodzin, pokryłoby koszta wychowania niejednego dziecka biedaków, uratowałoby zagrożony byt niejednego rozbitka. W tej chwili uroczą naszą dama przyklekła tam oto i wkopuje w ziemię, na marne, kamelię, przedstawiającą wartość dwu sukienek dziecięcych. Żałoba, potrzebująca takich środków do wyrażenia się, równa się w moich oczach obżarstwu!

Był to z największą pewnością socyalny demokrata, może nawet anarchista, znajdujący rozkosz w wywracaniu do góry

nogami najpoważniejszych rzeczy. Słuchałem go z coraz mniejszem zajęciem.

On zaś mówił:

— A tam na górze siedzi dozorca. Czy pan wiesz, co ten człowiek ma do roboty? W pierwszej linii sylabizuje gazetę, następnie ma pilnować grobów. O bo w tym świecie czi dla zmarłych panuje wzorowy porządek. Przyszedłszy tu dzisiaj, powiedziałem temu człeczynie bez ogródek, że gdybym zobaczył dziecko, kradnące z cmentarza kwiaty na kupno książki szkolnej za uzyskane pieniądze — małe, chude, lękliwe dziewczątko, zrywające kamelię, by sobie za nią kupić coś do zjedzenia, nietylkobym jej nie zdradził, lecz nawet wsparł moją pomocą. — „To bardzo źle“ — zaopiniował staruch. Bardzo źle! — słyszysz pan? Pannie! Człowiek śmiertelnie zgłodniały zatrzymuje pana pewnego dnia na ulicy, zapytując: która godzina? — Sięgasz pan po zegarek — lecz gdybyś w tej chwili

widział jego spojrzenie!... Naraz wyrywa panu błyskawicznie zegarek i zmyka. Pozostają panu wówczas dwie drogi. Możesz zawiadomić władze o rabunku, jakiego padłeś ofiarą, a wtedy, po upływie dni kilku, odzyskujesz niekiedy swoją własność, odnalezioną w pokątnym lombardzie przez agentów, w dwadzieścia cztery godziny zaś potem i przestępca dostaje się zazwyczaj w ręce policyi. Albo też zamilczasz pan o wszystkim — i to jest drugie wyjście. Możesz pan przemilczeć... Wie pan? Czuję się trochę znużony... Nie spałem całą noc.

— Doprawdy?... A dzień ubiega. I na mnie też czas do roboty...

Poruszyłem się w zamiarze odejścia.

On tymczasem wskazał na morze, na mosty:

— Łaziłem tam, na dole, po różnych spelunkach, aby się przyjrzeć nędzy, jak nocuje... Ale posłuchaj pan. Dzieją się bowiem dzisiaj rzeczy tak dziwne na-



prawdę... Pewnego wieczora lat temu dziesięć, siedząc na tym cmentarzu w tem samem miejscu, kto wie nawet, czy nie na tej samej ławce, byłem świadkiem zdarzenia, którego nie zapomnę do końca życia. Dzień miał się ku schyłkowi. Osoby, odwiedzające cmentarz, rozeszły się do domów, a kamieniarz, który wykował napis na marmurowej płycie, skończywszy robotę, wstał, przywdział surdut i z narzędziami, powtykaniami we wszystkie kieszenie ubrania, poszedł. Zerwał się wicher, kasztany zaszumiały potężnie, a stary, niewielki krzyżyk żelazny, stojący tam nieco dalej (zdaje mi się, że go już dziś nie ma) zachwiał się pod gwałtownym naporem powiewu. Zaplątałem i ja na sobie surdut, zabierając się do odejścia, gdy naraz ukazał się przedemną na skręcie grabarz i, mijając mnie spiesznie, rzucił w przechodzie pytanie, czy nie szła tędy mała

dziewczynka w jasnej sukience z torbą szkolną w ręku.

Nie mogłem sobie przypomnieć, czym podobną dziewczynkę widział. Spytałem go jednak, o co mu chodzi.

— Pokradła kwiaty — odpowiedział i poszedł.

Usiadłszy na ławce w milczeniu, czekałem, aż wróci.

— I cóż? znaleźliście ją? — ozwał się na widok nadchodzącego.

— Nie, ale zawarłem bramę.

Zanosiło się tedy na polowanie w całym słowa znaczeniu. Mała dziewczynka znajdowała się jeszcze napewne w obrębie cmentarza, to też sprawa musiała wziąć obrót poważny. Była to bowiem, dodać należy, trzecia już złodziejka owego dnia. Działwa ze szkoły, roztropne, małe dziewczątka, świadome zupełnie, że to co czynią, jest złe, kradły kwiaty, wiązały w bukiet, i sprzedawały. Ładne dzieciaczki! nie ma co mówić.

Poszedłem z grabarzem, wspomagając go czas jakiś w poszukiwaniach. Dziecię schowało się jednak doskonale. Przybraliśmy do pomocy dozorcę i szukaliśmy dalej we trzech, lecz daremnie. Ponieważ zaczęło się zmierzchać, daliśmy wreszcie pokój.

— Z którego to ona grobu skradła? — zapytałem grabarza.

— Z tego tam. Grobek dziecka w dodatku. Czy słyszał kto coś podobnego!

Udałem się na ów grób i cóż się pokazało? — był mi znajomy, znałem bowiem doskonale biedną zmarłą dziewczynkę, którą tego właśnie popołudnia przed paru godzinami pochowaliśmy. Otóż wszystkie kwiaty z mogiłki maleństwa zniknęły, moje z innymi, nie pozostało po nich śladu.

— Musimy dalej szukać — odezwałem się oburzony tem do tamtych.

— To haniebne!

Pomimo, że grabarza historia ta w grun-

cie rzeczy nic a nic nie obchodziła, przyłączył się jednak do nas, ze względu na rzecz, i wzięliśmy się z całą energią do dzieła w trójkę. Naraz spostrzegłem na dole, na skrócie alei, drobną dziecinę, dziewczątko, które skuliwszy się pod wysoką kolumną, przycupnęło do ziemi, i wytrzeszczało na mnie osłupiałe oczęta. Zrobiła się przytem taka malutka, że szyja jej znikła zupełnie pośród ramion.

Ależ ja znałem ją! Była to siostra zmarłej.

— Moje kochane dziecko! — zawolałem zdziwiony — a ty tu czemu siedzisz o takiej późnej godzinie?

Nie rzekła słowa, ani się nie ruszyła, podniosłem ją więc z ziemi, wziąłem od niej torbę i przykazałem iść do domu wraz ze mną, mówiąc:

— Hanusia nie potrzebuje wcale, żebyś dla niej tutaj siedziała do tak późna.

Podreptała za mną a ja tymczasem mówiłem:

— Musisz już pewno wiedzieć, że jakaś niedobra dziewczynka zabrała z grobu Hanusi kwiaty? Mała dziewczynka w jasnej sukience. Nie widziałaś jej przypadkiem?... Nie... Już my ją znajdziemy.

Szła obok mnie najspokojniej w świecie, bez słowa odpowiedzi.

— A toż ją pan przecie masz! — wykrzyknął nagle grabarz. — Złapałeś pan złodziejkę!

— Jak to?

— A no trzymasz ją pan za rękę!...

Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu.

— Cóż znowu, mylisz się pan. Ta mała nie jest złodziejką... To siostrzyczka tej, którą chowaliśmy dzisiaj. Na imię jej: Elina, znam ją doskonale.

Grabarz jednak obstawał przy swoim. Również dozorca poznał ją po różowej bliźnie z jednej strony pod bródką. Ona to ukradła kwiaty z grobu rodzonej siostry i nie była teraz w stanie, biedactwo,

jednego słowa na uniewinnienie swoje przemówić.

A teraz uważaj pan, proszę. Znałem obie siostry oddawna, mieszkaliśmy bowiem długo w jednej i tej samej nędznej oficynie. Obie siostrzyczki bawiły się często wprost mych okien. Bywały tam czasem między bębami kłótnie, przychodziło nawet do bójek, ale na ogół biorąc zasługiwały na nazwę dwojga dobrych dzieci i wobec innych brały zawsze w obronę jedna drugą. A nie miały się od kogo, zaznaczyć to muszę, tego nauczyć. Matka była osobą nicpotem, zjawiała się w domu gościem, ojca zaś — miały, zdaje się, każda swego — nie znała nigdy żadna. Dwoje tych dzieci przeżywało młodość w ciasnej norze, mało co większej niż płyta tego grobowca, że zaś mój pokój znajdował się tuż naprzeciwko, stawałem często przy oknie i zaglądałem do nich. Hanusia, będąca o parę lat starszą, miała z reguły nad Eliną przewagę,

objawiała zaś w niejednym wypadku rozsądek osoby dorosłej. Kiedy chciała dostać kromeczkę chleba, umiała w lot skorzystać z okazji usłużenia komuś z sąsiadów, a kiedy latem podwórzec tonął w spiece, w Hanusi to główce urodził się kapitalny pomysł przymocowania na szybach arkusza gazety, który służył za zasłonę przed najrzęsijszym skwarem słonecznym. Słyszałem także nieraz, jak przesłuchiwała siostrę z lekcyi, nim poszły do szkoły. Było to jedno z tych dzieci koszlawych, nad wiek poważnych, którym nie bywa sądzonem długie życie.

— Pozwól no pan, trzeba przecie zajrzeć do jej torby — odezwał się wśród naszej drogi grabarz.

Wystaw pan sobie, że w torbie rzeczywiście znajdowały się kwiaty. Poznałem między niemi moje własne dwa czy trzy.

Co tu było wobec tego powiedzieć?...  
Przed nami stała mała grzesznica, patrząc

nam w oczy z widoczną już zatwardziałością. Potrzałem ją za ramię i począłem rozpytywać, nie odpowiadała mi jednak. Wówczas grabarz natracił coś o policyi i zabrał dziecko z sobą.

Jak gdyby u furty dopiero pojęła całym jasno, co teraz ma nastąpić, ozwała się nagle:

— Gdzież ja mam iść?

Grabarz odpowiedział:

— Do urzędu policyjnego.

— Ja kwiatków nie ukradłam — oświadczyła stanowczo.

Nie skradła ich? Toż miała je w torbie. Złapaliśmy ją, można było niemal powiedzieć, na gorącym uczynku. Nie przestawała mimo tego powtarzać, że ich nie skradła.

U zamku furty wisiał rękawek od sukienki małej Eliny, a drugi, na sobie, miała też prawie urwany, chude, małe ramionko bielilo się w jego wnętrzu.

Udaliśmy się do policyi. Poszedłem tam



z nimi. Zeznaliśmy to i owo, o ile wiem jednak nic więcej nie spotkało Elinki. Co do mnie, nie widziałem jej już potem, wypadło mi bowiem w krótkim czasie wyjechać a przez następnych lat dziesięć nie byłem w kraju.

Obecnie jednak, wejrzawszy w rzecz głębiej, przyszedłem do przekonania, że to, co myśmy wówczas z tą małą uczynili, jak najzupełniej było opaczne. Bo ona w istocie tych kwiatów nie skradła, a w końcu — gdyby nawet? Mówię to bez ogródek: i czemu by nie?... Tak jest, postąpienie nasze sprzeciwiało się wszelkiej godziwości, choć żaden sąd na świecie nicby nam nie mógł zarzucić. Wszak ujęliśmy tylko winowajczynię i oddali władzy. Ale powiem panu coś: spotkałem Elinę obecnie... mógłbym pana nawet do niej zaprowadzić...

Umilkł na chwilę.

— Jeżeli pan pragniesz zrozumieć, co

panu jeszcze opowiedzieć zamierzam, musi pan skupić uwagę.

Chory dzieciak mówi do swojej siostrzyczki: — „Jak umrę, przyniosą mi pewnie kwiatów... może nawet dużo kwiatów... Pani nauczycielka na przykład przyszła z pewnością bukiet a pani Bédiche może i wieniec“...

Małeńka chora ma już „stary“ rozum. Wybuchał on w niej kosztem samego życia a choroba wyostrzyła jej myśli w nieprawdopodobnym stopniu.

Gdy mówi, młodsza siostrzyczka nie odzywa się ani słowem, starając się zrozumieć każdy jej wyraz. Mieszkają ciągle tak jakby same, matki bowiem nie ma nigdy w domu. Na szczęście pani Bédiche przysyła im od czasu do czasu trochę jedzenia, które je chroni od głodowej śmierci. Obecnie nie ma już mowy naturalnie o dawnych między siostrami kłótniach, nie pamiętają nawet, kiedy się sprzeczały, a częste niesnaski, przeplata-

jące niegdyś zabawę na podwórzu, poszły w zupełne zapomnienie.

Czy kwiaty są czemś tak nadzwyczajnym?... — mówi chora dalej. Uwiędnię one prędko. A zwiędły kwiatek przestaje być grobu ozdobą. A i tak zmarły ani ich nie może widzieć, ani mu pod nimi cieplej. Tymczasem... Elinka musi pewno pamiętać te trzewiki, które widziała raz na wystawie bazaru?... W tych musi być dopiero ciepło...

Elina przypominała je sobie doskonale. I aby zaimponować starszej siostrze swym rozsądkiem, opisała trzewiki jaknajdokładniej.

Do zimy było już niedaleko. Szparami u okna ciągnęło w pewne dni tak straszliwie, że mokra ścierka, wieszana na gwoździu, marzła czasem na kość. Przydałaby się Elince para takich trzewików...

Siostry wpatrzyły się jedna w drugą. Elinka nie jest przecie taka głupia. Może zabrać kwiaty z grobu Hanusi i sprzedać...

W niedzielę ulice pełne ludzi... Panowie i panie z bukietami u piersi pędzą w pojazdach za miasto. Bukiety te naturalnie kupili, jest zatem komu sprzedać kwiaty...

Eлина zapytała, czy może sobie kupić kotka?...

Owszem, jeżeli tylko tyle pieniędzy zostanie... Przedewszystkiem jednak bukiety!...

Taka mniej więcej umowa mogła między oboma zapaść. Cóż komu było do tego, ich to była wyłącznie sprawa, załatwiły ją same. Elinka jednak miała uważać i zabrać kwiaty tego samego dnia jeszcze, nim zwiędną.

— Ile też lat mogła liczyć chora?

— Dwanaście, trzynaście, sądzę. Wiek jednak nie stanowi tutaj niczego. Miałem siostrę, która uczyła się po grecku takim, o, bębnie.

Tymczasem Elinie nie powiodło się przeprowadzenie projektu. Nie została

coprawda ukaraną ale zetknięcie z policją napędziło jej w każdym razie pełnego strachu, niewinnej zresztą natury. Pod tym jednakże względem najdalej jeszcze wyszła z opałów. Potem zajęła się jej losem nauczycielka. Zająć się dzieckiem znaczy, w podobnych razach, jednocześnie: odznaczyć je, wystawić na próbę i poddać tajemnej obserwacji. Podczas pauz zaczynają teraz co chwila wołać na dziewczynkę: – „Elinko!... chodź tutaj kochanie, mam ci coś powiedzieć!“ Słyszy odtąd raz po raz pełne miłości ale stanowcze upomnienia, w najmniej stosownych chwilach przypominają jej całą historię, zalecając, aby nie przestawała prosić Boga o przebaczenie...

Wówczas załamuje się w niej naraz coś...

Elinka poczyna się opuszczać. Przychodzi do szkoły nieumyta, zapomina w domu książek. Podejrzewana nieustannie, ścigana na każdym kroku badawcze-

mi spojrzzeniami, uczy się unikać wzroku nauczycielki, przestaje ludziom patrzeć w oczy. Nabiera zwyczaju rzucania szybkich, ukradkowych spojrzeń, nadających jej twarzy wyraz bojaźliwości. Nakoniec nadchodzi dzień pierwszej komunii, pastor wygłasza do Elinki w czasie pobożnego aktu uroczystą przemowę na temat pewnego przykazania, które wszystkim obecnym przywodzi na myśl fakt z przeszłości dziecka. A wkrótce potem opuszcza Elinka kościół i swoją izdebkę. Słońce oblewa miasto swym złotym blaskiem, ludzie przechadzają się tłumnie po ulicach z bukietami u piersi, jadą za miasto. Elinka pojechała tej wiosny także doróżką za miasto...

Otóż tej nocy spotkałem ją znowu. Mieszka tam, wiesz pan, na dole. Stojąc w jednej z bram, zaczepiła mnie szeptem. Nie mogłem się omylić, głos mi był dobrze znany, poznałem także różową bliznę. Lecz, wielki Boże!... jakże się rozrosła?!...

— Chodź pan... To ja! — rzekła.

— A to znów ja! — odparłem. — Jakaś ty duża! Elinko.

Duża?... Jest o czem gadać. Nie miała czasu na paplanie, więc: albo — albo; jeżeli nie zamierzam wejść do środka, mogę sobie iść dalej i innym nie zaważać.

Wymieniwszy jej moje nazwisko, przypomniawszy oficynkę, małą Hanusię, wszystko, co mi przywiodła pamięć, zakończyłem:

— Wejdźmy i pogadajmy.

Lecz skorośmy weszli, ona:

— A zafunduje pan co?

Takie były jej pierwsze słowa. Ja zaś ciągnąłem swoje:

— Pomyśl też pani, gdyby tak Hanusia była z nami, usiedlibyśmy sobie w trójkę, pogawędzili o niejednym...

Rozśmiała się hałaśliwie:

— Co za idyotyzmy pan pleciesz? Zdziecinniałeś pan?

— Więc pani już nigdy Hanusi nie wspomina?

Plunęła przed siebie z pasyą.

Hanusia i Hanusia!... Czy mnie się zdaje, że ona jest jeszcze ciągle tym samym co przed laty małym bębniem? „Hanusia“ to dyabło stare dzieje, po kiego licha je odgrzebywać! Czy posłać dla nas po jaki napitek?...

— I owszem, proszę.

Wstała i wyszła.

Dokoła słyhać było z sąsiednich pokoi głosy ludzkie, pukanie korków, klątwy, krzyki. Drzwi otwierały się i zamykały z trzaskiem, raz po raz wołał ktoś w korytarz na posługaczkę, aby jej rzucić zlecenie.

Tymczasem Elina wróciła. Chciała się usadowić tuż koło mnie, nawet na mych kolanach, zapaliła papierosa.

— Dlaczego mi nie dasz przy sobie siedzieć? — zdziwiła się, gdy się odsunął.



— Dawno tu pani jesteś?

— Czy ja już wiem. Co to ma zresztą do rzeczy. Zdrowia!

Wypiliśmy. Zaczęła śpiewać jakąś melodyę, bez głosu, skończony idyotyzm z repertoaru tingtanglów.

— Gdzieś się pani tego nauczyła?

— W Tivoli.

— Często pani tam bywa?

— Jak tylko mam pieniądze. Ale obecnie jestem stale bez grosza. Gospodyni wołała dziś na mnie o pieniądze. Każą jej się drogo opłacać, więc potrzebuje dużo pieniędzy — i dla nas, kiedy jej damy, co jej się należy, nic nie zostaje. Nie mógłbyś mi dać cokolwiek?

Miałem na szczęście przy sobie trochę drobnych i mogłem zadosyćuczynić jej żądaniu.

Przyjęła bez podziękowania i bez śladu wzruszenia, chociaż musiało jej to sprawić w głębi duszy niejaką przyjemność, i poprosiła, czybym tak nie posłał jeszcze

po jedną flaszkę wina. Miałem być wyssany do dna.

Ukazało się wino.

Teraz jednak zebrała ją chętka popisać się mną. Zawołała kilka innych dziewcząt, aby je poczęstować winem. Przyszły, w krótkich krochmalnych spódniczkach, szeleszczących za każdym poruszeniem, z obnażonymi ramionami wszystkie, z włosami przyciętymi krótko.

Zostałem im przedstawiony, pamiętała zaś doskonale moje nazwisko. Zaczęła zblazowanym tonem blagować przed nimi, że dostała odemnie masę pieniędzy, że jestem jej starym, zażyłym znajomym, i że może odemnie każdej chwili żądać, ile tylko zechce. Zawsze tak było.

Dziewczęta, napiwszy się, nabrały także humoru. Zaczęły się sadyć jedna nad drugą na nieprawdopodobnie jaskrawe dwuznaczniki, wyjąc na wyścigi przeróżne piosenki. Skorom się tylko odezwał do której, Elinę zaraz ogarniała zazdrość

i przybierała złą, nadąsaną minę. Rozmawiałem jednak z tamtymi umyślnie jak najwięcej, aby ją w ten sposób do szczerości pobudzić i zajrzeć w głąb jej duszy. Chybiłem jednak celu, bo odwróciwszy się do mnie plecami, udała zajęta. W końcu porwała zarzutkę i kapelusz i zaczęła się ubierać do wyjścia.

— Wychodzi pani? — spytałem.

Nie odpowiedziała mi nic, tylko nucąc jakąś melodyę z wyniosłą miną, przypinała kapelusz. Naraz otworzyła drzwi na korytarz i zawołała:

— Gina!

Była to jej matka.

Przywlokła się ciężkim krokiem, człapiąc po podłodze zbyt obszernymi pantoflami. Zapukała, weszła i stanęła przy drzwiach.

— Słuchaj-no, ile ja ci razy mam mówić, żebyś mi dzień w dzień kurz z komody zcierała... — rzekła ostro. — Co za świństwo!... Nie pokazuj mi się więcej

z takim sprzątaniem, wiesz?... A te fotografie masz także codzień z kurzu oczyścić!

Matka odrzekła:

— Dobrze — i chciała się oddalić. Twarz jej była pokryta niezliczonymi zmarszczkami, policzki zapadłe, słuchała zaś rozkazów córki z pokorą, patrząc na nią z wytężeniem, by nie uronić żadnego słowa.

— Pamiętaj to sobie raz na zawsze rzuciła jeszcze Elina, a matka, powtórzywszy:

— Dobrze — wyszła, zamykając ostrożnie drzwi, aby hałasu nie czynić.

Ubrana do wyjścia zwróciła się teraz Elina w moją stronę i rzekła:

— Najlepiej by było, żebyś pan teraz zapłacił za wino i poszedł.

— Ślicznie dziękujemy! — odezwały się dziewczęta chórem, wychylając kieliszki.

Znalazłem się w ambarasie.

— Zapłacić za wino? — rzekłem. —

Przepraszam... toż ja, zdaje mi się, dałem już pani pieniądze na wino... Ale być może, że będę jeszcze coś mieć przy sobie?

Jak dziewczęta nie parskną śmiechem.

— To taki bogacz z tego pana?... Miałaś od niego dostać tyle pieniędzy, Elina, a on tymczasem nie ma czem wina zapłacić... Ha! ha! ha!...

Elinę porwała wściekłość.

— Wynosić mi się stąd! — zawołała. — Nie potrzebuję was więcej! U niego pieniędzy jak śmieci!... Przypatrzcie się, kiedy chcecie, ile mi dał!...

Wyrzuciła z za stanika na stół z tryumfem garść banknotów i rzekła:

— I mnie dał, i na wino... Chyba wystarczy?... Która z was kiedy widuje taką kupę pieniędzy?... Mogłabym z tego starej zapłacić za całe dwa miesiące, jeżeli mi się spodoba... wiecie?... Powiedziałam o winie tak tylko, żeby go zezłościć, żeby się z nim podroczyć trochę... No zabierajcie się stąd... precz...

Musiały się wynosić.

Elina zaś parsknęła ostrym, nerwowym śmiechem, kiedy się drzwi zamknęły za odchodzącymi.

— Nie potrzebuję, żeby mi tu godzinami wysiadywały — ozwała się usprawiedliwiająco. — Nudne dziewczyska... nie wdaję się z nimi... Musiałeś przecie od razu poznać, że nudne jak flaki z olejem...

— Nie powiem tego — odrzekłem, chcąc ją w jeszcze większe wprawić zakłopotanie. — Zapytane, odpowiadały na każde moje pytanie... Wcale do rzeczy dziewczęta...

— No to idźże sobie do dyabła za nimi — krzyknęła na to. — Leć, skoro masz ochotę. Nie zatrzymuję cię.

Schowała dla wszelkiej pewności pieniądze, wysypane przed chwilą.

— Miałbym panią jeszcze o coś zapytać — odrzekłem. — Nie chciałabyś pani

usiąść na chwilę i posłuchać mnie w spokoju?

— Zapytać mnie o coś?... — powtórzyła drwiącym tonem. — Nie mamy z sobą nic do gadania. Chcesz może znowu z Hanusią wyjechać?... Od tego trajkotania o Hanusi zaczyna mi się już niedobrze robić... Z tego się nie wyżyje, kotku.

— Nie chciałabyś pani jednak zerwać z takim życiem?

Udała, że nie słyszy, zaczęła się znowu szastać po pokoju, robić porządki, gwiżdżąc przytem dla dodania sobie animuszu.

— Zerwać z tem życiem? — wyrzekła nagle, zatrzymując się tuż przedemną. — Niby po co? Gdzie mam iść?... Za kogóż się to wydam?... Kto się z taką jak ja ożeni?... A służyć mi się, wybacz, nie chce.

— Mogłabyś pani spróbować wyjechać za granicę i tam rozpocząć nowe, uczciwe życie?

— Brednie! brednie! Nie wspominaj

mi o tem... Misyonarzem zostałeś, czy co?... I czemubym miała, pytam się, iść stąd?... Jest mi tu zupełnie dobrze. Nie brakuje mi niczego. Wiesz co?... Każ lepiej dać jeszcze jedną butelkę. Ale już tylko dla nas obojga. Tamtym nic — Gina!

Posłała po wino, a napiwszy się raz i drugi, stawała się stopniowo coraz to mniej pociągającą. Nie można z niej było po prostu wykrzesać jednego rozsądnego słówka, nuciała tylko, kołysząc się na krześle przedemną, urywki śpiewek ulicznych, a czasem zapadała w zadumę. Kiedy raz jeszcze pociągnęła z kieliszka, zachowanie jej stało się wprost odpychające. Poczęła mi się pchać na kolana coraz natarczywiej, wystawiała język, mówiąc: — „Patrz!“ — nakoniec zapytała bez ogródek:

— Zostaniesz u mnie na noc?

— Nie — odrzekłem.

— W takim razie wychodzę.



Opowiadacz zamilkł.

— I cóż? — przerwałem pierwszy ciszę.

— A no... cobyś pan też uczynił, gdyby panu taką alternatywę postawiono?... Zostałbyś pan czy poszedł? Oto jest pytanie!... Wiesz pan, na co ja się zdecydowałem?

Spojrzał na mnie i dodał:

— Zostałem.

— Zostałeś pan? — powtórzyłem, ziewając. — Na noc? u tej dziewczyny?

— Nędzna ze mnie dusza! — powiedział.

— Ależ na miłość boską! Co pan sobie myślałeś?... Byłeś pan chyba pijany?

— I to także. Pod koniec. Przedewszystkiem jednak postąpiłem tak dlatego, że nie jestem ani o włos mniej marny i wstrętny niż wszyscy inni ludzie, oto rzecz cała. Dziewczyny tej dzieje były mi znane... Okoliczność ta rozpałała we mnie nieokiełznaną chuć. Wytlómacz mi pan to, proszę?... I po-

zostałem. W jakimże morzu zmysłowego rozhukania utonęliśmy!...

Cynik przebrzydły potrzęsnał głową nad samym sobą.

— Mam jednak zamiar wybrać się do niej po raz wtóry... Niepodobna, żeby się tam nie dało jeszcze coś uczynić... Hm... Pan pewno myślisz, że ja się nie bardzo nadaję do takiej misyi?... Nie jestem ja, mój panie, taki zły, jakby się panu здаwać mogło. Przebieg spędzonej tam nocy ciśnie się panu przed oczy... Pomyśl pan jednak, że gdybym ja nie był został, przyszedłby inny, a onaby na tej zamianie straciła wedle wszelkiego prawdopodobieństwa. Jestem pewny, że mając wolność wyboru wśród mężczyzn, nad innych przeniosłaby mnie. Okazując jej wielką wyrozumiałość, nie zaniedbałem przytem niczego, aby jej stawić opór. I to ją właśnie — rzecz dziwna — podbiło we mnie najwięcej. Nawet to wyznała. — „Ty mi się tak cudownie opie-

rasz!“ — powiedziała. Co począć z taką dziewczyną? Pamiętać zaś należy, że w sercu jej jedynie i wyłącznie dzięki owej aferze z kradzieżą grobowych kwiatów załagał się robak zepsucia. To był punkt wyjścia wszystkiego. Gdyby na grobach wolno było rwać kwiaty, Elinka do dziś dnia zostałaby uczciwym dziewczęciem. Tymczasem myśmy ją jak zbrodniarkę przytrzymali a ja pomagałem tamtym w tem. Ja sam dopomagałem!

Wstrząsnął głową powtórnie i utonął w zadumie.

Wtem ocknął się jakby ze snu.

— Zatrzymałem pana pewno zbyt długo, prawda?... Sam się też czuję zmęczonym... Nie wie pan, która godzina?

Sięgnąłem po zegarek, lecz zostawiłem go w domu.

— Dziękuję zresztą, wszystko jedno, która — wyrzucił, wstając, poczem wyprostował nogi i spodnie na nich obciągnął.

— Patrz pan, właśnie powraca nasza wytworna dama, po ukończeniu żalobnych praktyk. Dziewczynka nie niesie już kwiatów. Zostały na grobie, kamelie, róże, aby za parę dni zwiędnąć. Jeżeli je sobie jaka mała dziewczynka spróbuje przywłaszczyć i kupić za nie bućki, nie będzie to, mojem zdaniem, żaden występki.

Utkwiwszy we mnie po tych słowach spojrzenie, patrzył tak jaką minutę, potem przystąpił do mnie całkiem blisko, parsknął hamowanym śmiechem i rzekł:

— Widzi pan, takie historye musi się czasami koniecznie opowiadać... Ale znajdzie się dla nich zawsze para ciekawych uszu... Stokrotne dzięki, szanowny słuchaczu!...

Zdjął kapelusz, wywinął nim z gracyą i odszedł.

\* \* \*

Siedziałem po jego odejściu chwilę, kompletnie zbity z tropu. Jednem jakby

pchnięciem wtrącił me myśli w wirujący zamęt, pogrążając mój zdrowy rozsądek w nieprzebitej mgle.

Bo co za świnią, proszę kogo!... Nocować u tej dziewczyny!... Czy jednak u niej w rzeczy samej?... At, łgarstwo wierutne... Zakpił sobie po prostu ze mnie... Jego wzruszająca opowieść była od początku do końca blagą.

Kim jednak mógł być ten arcyfilut?... O, jeśli mi się tylko uda spotkać go jeszcze, nie ujdzie mi. Kto go wie zresztą, czy całej tej historii gdzie nie wyczytał i nie nauczył się jej na pamięć, bo była wcale niezła. W przeciwnym razie chłopiec ma niewątpliwy talent. Ha! ha! ha!... Bóg świadkiem, wywiódł mnie w pole jak prawdziwy gracz!

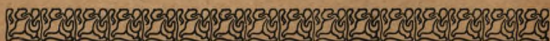
Wróciłem do domu w niesłabnącem na chwilę zakłopotaniu. Zaraz na wstępie obejrzałem się za zegarkiem. Nie było go na stole, nie było go nigdzie... Wtenczas to uderzyłem się w czoło... Zegarek

był skradziony!... I on, on jeden tylko mógł mi go ukraść, siedząc na owej ławce tuż koło mnie.

Co za łajdak!

A no... Miałem teraz przed sobą dwie drogi: zrobić doniesienie policyjne i odzyskać zegarek z jakiegoś pokątnego zastawu za parę dni, w którym to wypadku i ten hultaj nie uniknie dostania się prędzej później w pazurki policyi... — albo przemilczeć wszystko, to było drugie wyjście...

Przemilczałem.





## GŁOS ŻYCIA.

...Przyjaciel mój, znany autor H., opowiadał mi raz:

Wzdłuż wewnętrznego portu Kopenhagi biegnie ulica, która się zowie Vestavold; nowy, pusty jeszcze bulwar. Mało tam domów, mało latarni a już najmniej ludzi. Nawet latem widok przechodnia jest na tej ulicy rzadkością.

Posłuchaj tylko, jaka mi się tam przedwczoraj wieczór zdarzyła przygoda!

Przeszedłem się właśnie parę razy tam i nazad, gdy wtem zbliża się ku mnie kobieca postać. Prócz niej na ulicy nikoguteńko!... Latarnie płonęły wprawdzie

prawidłowo, ale z powodu grubego mroku nie mogłem rozeznaczyć jej rysów, więc biorąc ją za jedną z pospolitych cór nocy, przeszedłem obojętnie.

Na końcu bulwaru jednak zawróciłem, a ponieważ ona z drugiego końca uczyniła to także, spotkaliśmy się niebawem w połowie ulicy oko w oko. Pomyślałem: — „Czeka na kogoś, obaczmy, na kogo też?” I przeszedłem raz jeszcze koło niej.

Za trzecim wszakże spotkaniem uchyliłem kapelusza i zagadnąłem ją wprost:

— Dobry wieczór. Pani zapewne kogoś oczekuje?...

Drgnęła. Nie... a raczej: tak... Istotnie czeka na kogoś.

Czy nie będzie nic mieć przeciw temu, abym jej służył za towarzysza, dopokąd oczekiwana osoba nie pojawi się?

Nie, nic nie miała przeciw temu. Podziękowała mi za mą uprzejmość. Zresztą — wyznała — nie czeka właściwie



na nikogo, używa tylko przechadzki, ponieważ ulica jest zaciszniejsza niż inne.

Poszliśmy obok siebie krok za krokiem, rozpoczynając gawędę o rzeczach potocznych. Chciałem jej podać ramię, podziękowała jednak z odmownym ruchem głowy.

Uczułem na sobie powiew nudy. Nie mogąc się jej rysom w panującym mroku jako tako przypatrzeć, potarłem zapałkę pod pozorem zajrzenia na zegarek, właściwie aby oświetlić jej twarz.

— Pół do dziesiątej, po wpół do dziesiątej — rzekłem.

Zadrżała, jakby ją przejął mróz. Korzystając z okazji, pochwyliłem:

— Pani zimno? Możebyśmy poszli napić się czego?... Do „Tivoli“ na przykład, albo do „National’u“?

— Nie mogę obecnie nigdzie chodzić, jak pan widzi — odparła.

Teraz dopiero spostrzegłem, że miała na głowie długi, czarny welon żałobny.

Przeprosiłem ją co żywo, składając winę niegrzecznej propozycji na ciemność. Teraz dopiero sposób, w jaki przyjęła usprawiedliwienia, przekonał mnie, że nie mam przed sobą ćmy nocnej.

— Oprzej się pani, proszę, na mem ramieniu — ponowiłem ciepło, — to rozgrzewa.

Tym razem przystała.

Przeszliśmy się tam i z powrotem kilkakrotnie. Poprosiła, bym zobaczył godzinę.

— Dziesiąta wybiła — oznajmiłem. — A gdzie pani mieszka?

— Na Gamle Kongewej.

— Pozwoli pani, abym ją pod sam dom odprowadził?...

— Ach, nie wypada — odrzekła. — Nie może pan ze mną iść tak daleko. Pan mieszka na Bredgade?

— A pani skąd wie o tem?

— Wiem, kto pan jesteś.

Pauza. — Idąc ramię obok ramienia,

skręciliśmy w lepiej oświetlone ulice. Zauważyłem, że przyspieszała wciąż kroku, długi jej welon coraz mocniej łopotał.

— Chodźmy prędej, proszę pana — poczęła nalegać — chodźmy prędej.

Przed bramą domu, w którym mieszkała, na Gamle Kongewej, uczyniła w mą stronę ruch tego rodzaju, jakby mi nim chciała wyrazić podziękę za towarzystwo. Otwarłem przed nią drzwi a ona weszła w nie zwolna, oglądając się za mną jakby mimowoli. Wówczas popchnąłem zlekka ramieniem podwoje i przekroczyłem próg, ona zaś chwyciła mnie w tej samej chwili za rękę; żadne z nas słowa nie wyrzekło.

Poszliśmy po schodach na górę, nie zatrzymując się, aż na drugim piętrze. Otworzyła sama drzwi zewnętrzne, za niemi drugie i ująwszy ponownie mą rękę, wprowadziła mnie do środka. Musiało to już być w samym mieszkaniu,

doleciał mnie bowiem tik-tak zegaru. Przystanąła na chwilę u jednych drzwi, poczem naraz porwała mnie w objęcia i gorąco, cała drżąca, ucałowała w usta. W same usta.

— Usiądź pan... tutaj jest sofa... Zaświecę tymczasem...

Jasność zalała pokój.

Obejrzałem się wokół rozciekawiony i zmieszany — znajdowałem się w dużym, przepięknie urządzonej gabinecie, w którym kilkoro drzwi do przyległych pokoi stało otworem. Nie mogąc odgadnąć, kimby też była ta istota, z którą zbliżyło mnie spotkanie tak cudowne, ozwałem się:

— Jak tutaj ślicznie!... Pani tu mieszka?

— Tak jest, to moje gniazdko.

— Pani gniazdko... Jest pani zapewne córką jego właścicieli...

Zaśmiała się i rzekła:

— Ależ ja sama jestem tu gospodynią

i to starą gospodynią... Zaraz pan zobaczy...

A zdjąwszy kapelusz z welonem z żalobnego kiru :

— O! patrzaj pan — rzekła i pochwyciła mnie znowu w nagły, gorący uścisk, jakby pod wpływem nie dającej się pohamować namiętności.

Duży! szalony dzieciak!... Mogła liczyć najwyżej dwadzieścia dwa lub trzy lata. Na jej prawej ręce błyszczała ślubna obrączka, może więc w rzeczy samej była mężatką. Czy była ładna? Nie. Za wiele miała piegów na twarzy a prawie żadnych brwi. Biło od niej jednak dziko rozkołysane życie a usta jej były wprost piękne.

Chciałem ją zapytać o nazwisko, o to, gdzie bawi jej mąż, jeśli go ma; chciałem przecie wiedzieć, w czyjem mieszkaniu jestem; przyciskała się jednak tylko do mnie mocno, ile razy otwarłem usta

i zakazując mi puszczać wodze ciekawości, oświadczyła za całą odpowiedź:

— Na imię mi Ellen... Napije się pan czego?... Zadzwoń. Musi pan jednak na chwilkę wejść do mej sypialni.

Udałem się do sąsiedniego pokoju, w którym ujrzałem dwa łóżka przy ślabej świetle, wpadającym doń z za progu. Tymczasem Ellen, przywoławszy dzwonkiem służącą, kazała przynieść wino, poczem zobaczyłem, jak pokojówka, przyniósłszy co kazano, wyszła. Po chwili Ellen wkroczyła do sypialni. Na jedno oka mgnienie zatrzymała się w drzwiach, lecz kiedym o krok postąpił ku niej, wydała lekki okrzyk i znalazła się przy mnie błyskawicą.

---

Wszystko to miało miejsce przedwczoraj wieczór...

Co nastąpiło potem?... Cierpliwości mój drogi, nastąpiło dość wiele.

Kiedym się zbudził wczoraj rano, dnia-

ło już, światło dzienne wpadało do pokoju z obu stron rolety. Ellen się ocknęła a westchnąwszy z znużenia, powiedziała mi uśmiechem: dzień dobry. Ramiona jej bieluteńkie, aksamitne, pierś pulchna, jaśniały przed mym wzrokiem. Szepnąłem do niej jakiś pieszczotliwy wyraz a ona złączyła natychmiast z moimi swe usta, niema nadmiarem tkliwości. Robiło się coraz jaśniej.

W dwie godziny potem byłem na nogach. Ellen wstała także i już w trzewikach, zaraz się zakopała w suknie. Teraz jednak wypadło mi przeżyć coś, co jeszcze w tej chwili, gdy sobie wspomnę, przejmuje mnie zimnym dreszczem, jak widmo złych snów.

Stoję właśnie przy umywalni — Ellen idzie po coś do drugiego pokoju. W chwili jednakże, kiedy otwarła drzwi, zwróciłem bezwiednie głowę, idąc oczyma za nią. Cóżem zobaczyć?

Zimny powiew, wpadający z otwartych

okien drugiego pokoju, buchnął ku mnie z za progu, na środku pokoju zaś ujrzałem na długim stole — zwłoki. Zwłoki ułożonego w trumnie siwowłosego mężczyzny z brodą. Jego chude kolana sterczały w górę jak dwie groźne pięści, ściśnięte w kułak pod całunem, a żółta twarz przejmowała strachem. Objąwszy jednym rzutem oczu ten obraz w pełnym dnia blasku, odwróciłem w tej samej chwili wzrok, nie wspominając o tem słowa.

Za powrotem Ellen byłem już całkowicie ubrany i gotów do wyjścia. Ledwie udało się odwzajemnić jej uściski. Ubrała się także zupełnie, chcąc mnie na sam dół sprowadzić, czemu nie stawiałem oporu, niezdolny jednego słowa wyrzec. Na dole, przycisnąwszy się do muru, aby nie zostać spostrzeżoną, szepnęła:

— Do widzenia!

— Jutro? — spytałem z pewnem wahaniem.

— Nie, nie jutro.



— Dlaczegoż nie?

— Cicho, najdroższy... Jutro mam pogrzeb... umarł mi krewny... Wiesz już teraz?

— A pojutrze?...

— Dobrze, pojutrze, będę cię oczekiwać tu w bramie...

— Bądź zdrowa!...

I poszedłem.

Kto ona była?... Kim był ten nieboszczyk? Jak on strasznie zaciskał pięści i jak mu w potwornej komice trupiego grymasu twarzy kąciaki ust ohydnie opadły...

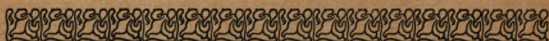
Przyrzekła na mnie czekać... Iść tam, czy nie?...

Udałem się wprost stamtąd do kawiarni. Zażądawszy książki adresowej, otwieram: Gamle Kongevej, numer ten i ten... Dobrze. Wyczytuję nazwisko, wiem już, jak się Ellen nazywa. Czekam chwilę, aż przyniosą dzienniki poranne i rzucam się łakomie na nekrologię, aby zlustrować do-

niesienia o zgonach. Znalazłem ten, o który mi szło, na samem czele długiej listy. „Po długiej i ciężkiej słabości zmarł wczoraj mój małżonek w 53 roku życia...“ Data uwiadomienia wczorajsza.

Zapadłem w myśli, jak w przepaść...

Mężczyzna w starszym wieku ma żonę o 30 lat od siebie młodszą. Chory od lat wielu, umiera wreszcie... Młoda wdowa oddycha... Życie z całym swym porywającym szałem woła na nią w tej chwili a ona, posłuszna temu wołaniu, odpowiada: — „Idę!... — i tegoż samego dnia jeszcze biegnie na bulwar Vestavold!... Ellen! Ellen!... pojutrze!...





## WYPRAWA Z PRELEKCYĄ.

Zachciało mi się raz urządzić w Drammen odczyt o literaturze najnowszej, w miłej nadziei uzyskania tą drogą okazałej sumki bez zbyt wielkiego z mej strony wysiłku. Oto czemum się znalazł pewnego pięknego dnia pod koniec lata w pociągu kolejowym, zdążającym ku temu zacnemu miastu. Działo się to zaś w roku tysięcznym ósmsetnym óśmdziesiątym i szóstym.

Nie znałem w Drammen żywej duszy, nikt też z mieszkańców grodu nie znał mnie. Nie ogłosiłem również zrazu odczytu mego w dziennikach, posiadając

natomiast 500 sztuk biletów wizytowych, które kazałem sobie być wydrukować w czasach, kiedy stan mojej kasy był kwitnący, postanowiłem obecnie zrobić z nich użytek i kazać je rozrzucić po hotelach, restauracjach i większych handlach, by zwrócić tym sposobem uwagę ludzką na moje przedsięwzięcie. Bilety te były nawiasem mówiąc niezupełnie w porządku — nazwisko mianowicie było o jedną czy dwie litery przekręcone, przy odrobinie jednak dobrych chęci dało się ostatecznie odgadnąć, że tyczy się ono mojej osoby. Zresztą imię moje było tak całkowicie nieznane współczesności, że wykoszlawienie go nie czyniło, ściśle biorąc, żadnej większej różnicy.

Umieściwszy się w pociągu, przedsięwzięciem nasamprzód przegląd posiadanej gotówki. Stan jej, choć niezbyt wesoły, nie zmniejszył jednak mojej wiary w przyszłość. Byłem przyzwyczajony do przełamywania wielu przeszkód za pomocą

niewielkiej ilości pieniędzy, a nawet całym bez takowych. Czułem jednak, że nie jestem w danej chwili dość bogaty, aby wystąpić na stopę, odpowiednią estetycznemu charakterowi mej entrepryzy w obcym mieście i że tylko przy największej oszczędności będę ją mógł przywieść do skutku, strzegąc się jak najusilniej w przygotowaniach wszystkiego, co pachnie szumnością i zbytkiem. Co się tyczy takich potrzeb jak posiłek, mogłem, rozumie się, wślizgiwać się o wieczornym zmroku do tanich suterren owych jadłodajni i tam się pożywić, a co do hotelu, miałem zamiar szukać kwatery w jednym z lokali, nad którymi figuruje napis: „Mieszkania dla podróżnych“. Jakiej więcej wydatki mogły mnie czekać?

Siedząc tak w przedziale, nie omieszkałem ponownie przestudyować tekstu mej prelekcyi, która miała traktować: o Aleksandrze Kiellandzie.

Moi współpodróżni, kilku wesołych

chłopów, powracających z Christianii, puściwszy pomiędzy sobą flaszkę kolejką, zaprosili i mnie na kropelkę, lecz odmówiłem z grzecznem podziękowaniem. Podejmowali później jeszcze po kilkakroć, zwyczajem ludzi rozochoconych trunkiem, kroki w celu zbliżenia się do mnie, lecz nie przestałem się trzymać zdaleka. Nakoniec zdołali zdaje się wyrozumieć z przybranej przezemnie postawy, że jestem osobą uczoną, której głowa Bóg wie jakimi mądrymi rzeczami nabita, i dali mi pokój.

Wysiadłszy z wagonu za przybyciem do Drammen, zaniósłem przedewszystkiem moją torbę podróżną na jedną z ławeczek. Należało też zebrać myśli przed wyruszeniem do miasta. Co się tyczy torby, nie była mi na nic potrzebna, wziąłem ją jednak z sobą, bo słyszałem nieraz, że posiadanie bagaży ułatwia znakomicie wejście i wyjście z hotelowej kwatery. Co prawda biedne moje torbisko, z jakie-

gość dywanowego materiału, nosiło tak widoczne ślady zniszczenia przez czas i użycie, że nie było godnem nawet jeżdżącego z odczytami literata, podczas kiedy okrywające mnie suknie, marynarkowy garnitur ciemnoniebieski, wyglądały o całe niebo przyzwoiciej.

Uznało to zdaje się bystre oko sługi hotelowego z napisem na czapce, bo podszedł do mnie i objawił żywą chęć poniesienia za mną mej torby.

Odrzuciłem ofertę oznajmieniem, że się jeszcze na wybór hotelu nie zdecydowałem; chcę przedewszystkiem złożyć wizytę kilku redaktorom w mieście, przyjechawszy wygłosić odczyt o literaturze.

To wszystko bardzo pięknie, ale muszę przecie zdecydować się na jakiś hotel, bo gdzież będę nocował? A jego hotel jest niewątpliwie najlepszy w mieście. Elektryczne dzwonki, łazienka, czytelnia. Przytem dwa kroki od dworca: tylko tą ulicą do góry, a potem w lewo.

Anim się spostrzegł, jak schwycił moją torbę.

Nie puszczałem jej jednak.

Chciałabym trudzić się osobiście odnośzeniem pakunku do hotelu?...

I czemużby nie? Dziwnym zbiegiem okoliczności ta sama mi droga, co mym bagażom, zawieszam je zatem na moim małym palcu, i dalej w drogę.

Na takie dictum sługus wpatrzył się we mnie bystrzej i przejrzawszy nareszcie, że nie muszę być niczem wielkiem, zwrócił się bez dalszej straty czasu napowrót w stronę pociągu, by tropić wpośród podróżnych nową ofiarę. Nie zdoławszy jednak nikogo upolować, wrócił do mnie i wznowił pertraktacye, nie wahając się przytem zapędzić do wynurzenia, że w gruncie rzeczy dla mnie to właśnie raczył się fatygować na dworzec.

Ba, to zmieniało postać rzeczy. Człowieka tego delegował widocznie jakiś komitet, dowiedziawszy się o moim przy-



jeździe, na przykład wydział stowarzyszenia robotników. Widać, że życie duchowe w Drammen żywym uderza tętnem, ludności daje się odczuć potrzeba doborowych odczytów i całe miasto w oczekiwaniu mej osoby znajduje się pewno w gorączkowym napięciu.

— Kiedy tak, to proszę odnieść moje bagaże — przyzwoliłem wyniośle. — A macie wy tam w tym waszym hotelu wino?... stołowe wino do objadu?...

— Wino?... Najprzedniejsze gatunki!

— Dobrze. Możecie odejść. Zaraz za wami przychodzę. Muszę tylko wpierw złożyć kilka wizyt po redakcjach.

W oczach człeczyny błyszczało tyle sprytu, że spróbowałam zasięgnąć jego rady.

— Którego z redaktorów radzilibyście mi najbardziej odwiedzić? Bo nie mam ochoty łązić po wszystkich, do dyabła.

— Najślawniejszy jest Arntsen. Bardzo godny pan. Do niego każdy chodzi.

\* \* \*

Redaktora Arntsena nie było oczywiście w redakcyi, odszukałem go zatem w mieszkaniu i objaśniłem bez długich wstępów o moich zamysłach w dziedzinie literatury.

Niestety! tutaj ludzie nie wiele się tego rodzaju rzeczami interesują. Zeszłego roku przyjechał z Szwecyi student z odczytem o pokoju wiecznym, to musiał, szczerze mówiąc, dopłacić...

— Mam zamiar mówić o literaturze — zauważyłem.

— Och, zrozumiałem — odparł redaktor, — lecz muszę panu zwrócić uwagę, że pan dołoży także...

Co?!... jeszcze dokładać!... Przyjemny sobie ten pan Arntsen!... Jak gdybym jeździł w zastępstwie jakiejś firmy, która dla własnej reklamy gotowa sypać groszem... Spytałem krótko:

— Nie wiadomo też panu, czy wielka sala stowarzyszenia robotniczego jest w danej chwili wolna?

— Niestety, nie. Lokal stowarzyszenia robotników został na szereg wieczorów wynajęty. Przedstawienia sztuk antyspi-rytystycznych... Przytem jakieś historie z małpami,.. dzikie zwierzęta... Z innych zaś lokali można reflektować tylko na pawilon w parku...

— Może mi pan polecić ten lokal?

— Hm... duży, wesoły lokal... A co do ceny... nie wiem o tem nic bliższego, ale dostanie go pan bardzo niedrogo z pewnością... Trzeba jednak porozumieć się wpierw z dyrekcją...

Zdecydowałem się natychmiast na pawilon w parku. To był na pewno lokal, jakiego mi potrzeba. Sale robotnicze są zwykle ciasne i niedogodne.

Kto należy do dyrekcji?

Adwokat Karlsen, kuśnierz H. i księgarz W.

Wybrałem się niezwłocznie do adwokata Karlsena. Mieszkał za miastem, to też szedłem i szedłem bez końca, ale wre-

szcie zaszedłem. Wyłuszczywszy cel mego przybycia, poprosiłem o pawilon parkowy. Powinienby się bardzo nadawać do przedsięwzięć tak rzadkich jak moje prelekcye literackie.

Adwokat zamyślił się zrazu, wnet wszakże potrząsnął głową przecząco.

Nie?!... Byłzeby lokal aż tak wielki?... To i lepiej. Szkodaby było, aby ludzie z braku miejsc musieli z niczem odchodzić od kasy.

Adwokat wytłómaczył się ściślej. Może mi tylko odradzić całego mojego projektu. Tu ludzie tak mało mają interesu do podobnych rzeczy. Student z Szwecyi chciał także urządzić zeszłego roku szereg odczytów, tymczasem...

— Tak, ale on miał przemawiać o pokoju wiecznym, ja zaś chcę mówić o literaturze, o literaturze nadobnej...

— Prócz tego zjechał pan do nas w bardzo niestosownym czasie... — mówił dalej pan Karlsen. — Właśnie zapowiedziano

w stowarzyszeniu robotniczem widowiska antyspirytystyczne z małpami, dzikimi zwierzętami...

Uśmiechnąłem się na to i popatrzyłem na mecenasa uważniej. Miał jednak taką minę, jakby istotnie myślał, co powiedział, — straciłem więc co do tego człowieka wszelką nadzieję.

— Ile panowie żądają za wynajęcie pawilonu w parku? — spytałem lakonicznie.

— Ośm koron — brzmiała odpowiedź. — Ale wynajem musi przejść przez uchwałę posiedzenia dyrekcyi. Za kilka dni może pan mieć stanowczą odpowiedź, sądzę jednak, że mam prawo przyrzec panu lokal już dzisiaj.

Uskuteczniłem w myśli błyskawiczne obliczenie: dwa dni czekania trzy korony — pawilon ośm — to jedenaście, sprzedawanie biletów kosztować będzie koronę, razem dwanaście koron. Dwudziestu pięciu słuchaczy po 50 oerów pokryłoby już powyższe wydatki, pozostała

zaś setka lub dwie setki słuchaczy, którzy ponad tę cyfrę przybędą, da czysty zysk w gotówce!...

Przystąpiłem. Pawilon parkowy został mi wynajęty.

\* \* \*

Odszukałem mój hotel i wszedłem.

Numerowa zagadnęła mnie zaraz za progiem:

— Pan sobie życzy pokoju na pierwszym czy na drugim piętrze?

Odrzekłem najspokojniej, bez cienia zakłopotania:

— Proszę przede wszystkim o pokój niedrogi, najtańszy, jaki macie.

Dziewczyna obejrzała mnie od stóp do głowy, jakby to moje żądanie pachło żartem. Nie jest to przypadkowo ten sam facet, co się u hotelowego dowiadywał, czy mają wino do potraw? A może udaje tylko głuptaska, żeby hotelu w ambaras nie wprowadzać?...

Otworzyła drzwi jakieś tak nagle, aż nos musiałem przed rozmachem skrzydła cofnąć.

— Ten pokój jest wolny. Zatrzymaliśmy go dla pana. Pański pakunek już tu złożony. Proszę bardzo...

Niepodobna się było cofnąć... Wszedłem. Był to najwytworniejszy z numerów hotelowych.

— A łóżko?

— Oto jest: właściwie sofka do spania. Ale na łóżko nie ma dość miejsca. Sofę za to można wyciągnąć i najlepsze ma się spanie...

Odeszła.

Humor mój zgasł. Moja mizerna walizka w tem eleganckiem otoczeniu?!... Cóż dopiero powiedzieć o wyglądzie moich trzewików po tak długiej wędrówce pieszko. Szczerze mówiąc zakląłem...

W tej samej chwili numerowa wsuwa ponownie głowę przez drzwi, pytając:

— Pan co rozkaże?

Zakląć więc nawet nie można, aby natchmiast nie zaalarmować całego hufca fagasów!

— Ani mi się śni — odrzekłem ze złością. — Albo zaraz. Proszę mi przynieść dwie kromki chleba z masłem.

Wytrzeszczyła oczy.

— Nic ciepłego?

— Nic.

Domyślność jednak oświeciła ją w mig: sprawa żołądka!... Mamy wiosnę... po zimnach upały... przychodzi wstręt do mięsa...

Wracając z chlebem, przyniosła także spis win. Doskonale wytresowana istotka nie dała mi zażyć spokoju przez cały wieczór!...

— Czy pan sobie życzy mieć pościel wygrzaną?... Mamy także w hotelu łazienkę, więc jeśliby pan chciał...

Za nadejściem świtu zerwałem się zdenerwowany z legowiska i począłem się ubierać. Zimno mi było; przekłeta sofa



była dla mnie naturalnie za krótka, spałem więc jak najgorzej. Dzwonię. Nikt się nie pokazuje... Musiało jeszcze być bardzo wcześnie, z ulicy bowiem najlżejszy szelest nie dolatywał; kiedym jako tako oprzytomniał, spostrzegłem, że rzeczywiście jeszcze nawet nie jest całkiem jasno.

Rozejrzałem się po pokoju: w życiu mojem nie oglądałem tak paradnego apartamentu. Ciemne myśli poczęły się wyłaniać z głębi mej duszy, zadzwoniłem powtórnie. Ugrzązłszy po kostki w puszystym dywanie, czekałem. Teraz przyjdzie mi wytrząsnąć kieszenie z ostatniego grosza, co nawet może — kto wie? — nie wystarczy na pokrycie rachunku. Począłem na gwałt obliczać, ile też mogę jeszcze mieć pieniędzy, gdy wtem odgłos kroków pod drzwiami przerwał mi w połowie to niewesołe zajęcie.

Nikt jednak progu nie przestąpił. Kroki na korytarzu były przywidzeniem. Zaczy-

nam rachunek od początku. Co za straszliwa niepewność!... Gdzież się podziwała pokojówka i jej wczorajsza, pełna zapału usłużność?... Trudno przecie przypuścić, aby leniuch chrapał do białego dnia?!...

Ukazała się wreszcie, napół ubrana, w chustce, zarzuconej na ramiona.

— Pan dzwonił?...

— Proszę o rachunek.

Rachunek?... Ba! nie tak to łatwo. Pani śpi jeszcze, bo to dopiero wpół do trzeciej. Patrzyła na mnie bezradnie. Także moda wytrzeszczać na kogoś oczy w taki sposób!... Co jej do tego, że mnie się podoba hotel tak rano opuścić?!...

— Wszystko mi jedno — odrzekłem. — Muszę dostać rachunek i to natychmiast.

Oddaliła się.

Nie było jej widać — całą wieczność. Najbardziej w toku czekania potęgowała obawy „moje” myśl, że może pokoje wynajmuje się na godziny, czekając przeto na rachunek, bez własnej winy marno-

trawię haniebnie grosz, jaki mi na uregulowanie go wyłożyć przyjdzie. Brak obycia z praktykami wytwornych hoteli utrwalił mój niepokój a także treść komunikatu nad umywalnią, wprowadzająca zamęt nielada w moją belletrystyczną głowę oznajmieniem, że pokój, którego się nie wymówi przed godziną 6-tą wieczór, zapłacić trzeba za całą dobę.

Nakoniec rozległo się pukanie i dziewczyna ukazała się w moim pokoju.

Nigdy!... nie! nigdy nie zapomnę fatalności tego jej figla. Dwie korony 70 oerów wyniosła cała należność! Taka drobnotka!... Ot — napiwek, który mogłem jak nie darować numerowej na szpilki.

Rzuciłem na stół kilka koron — jedną jeszcze.

— Zatrzymaj resztę dla siebie, moje dziecko.

Należało przecie okazać, że człowiek zna formy, nie mówiąc już o tem, że dziewczątko zasługiwało samo przez się na

wszelkie uznanie. Prawdziwie rzadka dziewczyna, rzucona na łup swawoli obieżyświatów, stających kwaterą w drażeńskim hotelu. Takie kobiety nie rodzą się już dzisiaj; wymarła to rasa. Jakichże ona najwyszukańszych starań nie dokładała względem mnie do ostatniej chwili, odkąd jej było wiadomem, że ma przed sobą Krezusa.

— Czy hotelowy ma zanieść bagaże za panem?...

— Niech Bóg uchowa!... — odparłem, pragnąc oszczędzić im trudu. — Taka bagatelka jak mój pakunek!... A musisz kochanie wiedzieć, że torba ta towarzyszy mi we wszystkich moich wycieczkach literackich. Nie zamieniłbym jej za nic w świecie na inną!... Ot — słabość.

Opozycja jednak nie na wiele się zdała. Parobek czekał już na dole z oczyma czyhającymi chciwie na moją torbę. Ten wzrok, jakim podobni ludzie przewiercają tobołki podróżnych, nim się na nie rzucą!...

— Odniosę za panem — rzekł.

Nieba! Czyż nie potrzeba mi było dla mnie samego mojej gotówki?... Mogłemże liczyć na jakikolwiek dochód przed odczytem?... Postanowiłem więc całkiem słusznie sam zabrać walizkę.

Ale szpony parobka już ją schwyciły. Niczem wśród tego nie dawał poznać, by mu ciążyła lub aby spekulował na jakieś honorarium. Niósł ją owszem z miną tak serdecznie ciepłą, jakby był gotów zapędzić się do samego piekła za posiadaczem takiej walizki.

— Za pozwoleniem — zawołałem zdenerwowany, przystając. — Dokąd wy właściwie myślicie zanieść tę torbę?

Odparł z uśmiechem:

— Dokąd pan każe.

— No oczywiście, że dokąd każę. Nie będę przecie tańczył, jak wam się gwizdać spodoba.

Chciałem się pozbyć bałwana za jakąś cenę a ponieważ znaleźliśmy się

właśnie przed szyldem jakichś „Noclegów dla podróżnych“ w suterelowym lokalu, postanowiłem się tam ulokować. Nie chcąc zaś, aby sługa konkurencyjnego przedsiębiorstwa był tego świadkiem, dobyłem z kieszeni koronę i dałem mu ją.

Stał dalej z wyciągniętą ręką.

— Wczoraj odniosłem za panem także walizkę.

— To właśnie masz za wczoraj.

— A teraz odnoszę drugi raz...

Szatan wziął się na mnie.

— Masz i za dzisiaj! — przerwałem, rzucając mu jeszcze pół korony. — A teraz zniknij.

Poszedł. Oglądał się jednak kilkakrotnie, jakby mi się nie mógł napatrzeć.

Poszedłem usiąść na jednej z ławek ulicznych. Było wprawdzie trochę chłodno, lecz w ślad za słońcem, wznoszącym się coraz wyżej, przybywało i ciepła. Zasnąłem też mimo woli i musiałem spać dobrą chwilę, bo kiedym na nowo otwarł

oczy, po ulicach sнуło się już sporo ludzi, a z wielu kominów kłębamii buchał dym. Wtenczas poszedłem do mojej piwnicy i począłem umawiać się z gospodynią o kwaterę. Zażądała zapłaty po pół korony za noc.

\* \* \*

Po upływie dwóch dni oczekiwania udałem się ponownie do mecenasa Karl-sena za miastem. Powtórzył swą przy-jacielską radę, abym póki czas zrezygno-wał z odczytu, nie dałem się jednak znie-chęcić, zwłaszcza że postarałem się już był także o ogłoszenie prelekcyi w pi-śmie Arntsena z podaniem gdzie, kiedy i o czem mówić będę.

Kiedy chciałem od razu uiścić cenę najmu, coby mnie było ogołociło z ostat-ków pieniędzy, wyrzekł ten osobliwszy człowiek:

— Ależ na zapłatę będzie dość czasu i po odczycie.

Nie zrozumiałwszy intencji, uczułem się w pierwszej chwili dotkniętym.

— Sądzisz pan może, że nie mam przy sobie głupich ośmiu koron?

— Ależ na Boga!... nie!!... — zastrzegł się. — Tylko, mówiąc otwarcie, gdzie pewnoś, choćby najmniejsza, że pan z lokalu korzystać będzie, na wypadek zaś, gdyby odczyt do skutku nie przyszedł, po cóż pan ma już teraz płacić...

— Odczyt ogłoszony.

Skinął głową i odrzekł:

— No tak, widziałem...

Po chwili zaś:

— Czy nie odwołałbyś go pan nawet gdyby nie przyszło więcej nad pięćdziesiąt osób?

Byłem już teraz co się nazywa obrażony; zastanowiwszy się jednak nad pytaniem, odrzekłem, że wprawdzie pięćdziesięciu słuchaczy przedstawia dość skromne audytoryum, gotów jednak jestem mówić i przed takim.



— Ale przed dziesięcioma nie odbyłbyś pan prelekcji?...

Parsknąłem śmiechem na cały głos.

— Nie!... wybacz pan... są jednak granice...

Przestaliśmy mówić o tym przedmiocie, wynająłem salę i dałem się adwokatowi wciągnąć przez grzeczność w rozmowę o literaturze. Nie wydał mi się wprawdzie tym razem tak beznadziejną inteligencją jak za moją pierwszą wizytą, ale w każdym razie znać było, że jest tylko człowiekiem interesów, to też wynurzenia jego w porównaniu z tem, co ja miałem do powiedzenia, wydały mi się dyabelnie marne.

Przy pożegnaniu życzył mi nabitej sali w odczytowy wieczór.

Wróciłem do piwnicy pełen najróżowszych rojeń. Teraz już wszystko było gotowe do walnej bitwy. Wynająłem jeszcze przed południem za półtorej korony człowieka, który miał z końca w ko-

niec przemaszerować miasto, siejąc na prawo i lewo pięcioma setkami moich biletów. Odczyt mój stanowił więc pewno w tej chwili wypadek dnia, głośny w salonach i na poddaszach.

Nastrój mój stawał się coraz podnioslejszy. Myśl o ważności dnia, jaki miałem przed sobą, czyniła mi jednak nader niemiłym pobyt w piwnicy, w otoczeniu indywiduów nieokrzesanych. Wszystko to chciało koniecznie dowiedzieć się, kto ja jestem, dlaczego tam zamieszkał. Gospodyni, typ damy z za bufetu, wyjaśniała, że jestem osobą uczoną, wysiadującą przy stole dnie i nocę z piórem w ręku nad zgłębianiem nierozwiązalnych zagadnień, i czuwała troskliwie nad tem, aby mnie nie dręczono nadmiarem wściubskich pytań. Odwiedzające lokal towarzystwo składały głodomory, odziane w bluzy robocze i wypuszczone z kamizelek rękawy od koszul, wyrobnicy i tragarze, zstępujący

w głąb piwnicy dla pokrzepienia się garnuszką gorącej kawy lub pajdą chleba, której całą okrasę stanowiło trochę masła lub sera krajanka. Niezbyt przyjemni ci ludzie stawali się chwilami jeszcze nieznośniejsi, kiedy raczyli gospodynię grubiaństwami za czerstwe pieczywo lub jaja zbyt małe. Gdy usłyszeli, że zamierzam przemawiać w parkowym pawilonie, dalejże się dowiadywać, co będzie kosztował bilet, nie kryjąc następnie, że posłuchaliby z ochotą mego odczytu, gdyby nie bajeczna cena wstępu; zabierali się nie żartem targować się ze mną o cenę.

Bacząc na niski poziom umysłowy tych nędzarzy, nie chciałem do siebie dopuszczać uczucia urazy, dobywającego się przemocą z mej piersi.

Stancję obok mnie zajmował jegomość nader okazałej powierzchowności. Używał on w potocznej mowie straszliwej mieszaniny szwedzko-norweskiego żar-

gonu, gospodyni zaś tytułowała go co pięć minut hałaśliwie „panem dyrektorem“. Ile razy tylko osobistość ta ukazać raczyła swą dumną postać w obrębie piwnicy, zawsze zjawienie się jej wywoływało sensacyę, między innemi i z tego powodu, że zanim usiadł na stołek, strzepywał go wpierw dobytą z kieszeni chusteczką od nosa. Był to w ogóle człowiek wytworny, z pańskimi wymogami. Żądając naprzykład chleba z masłem, dodawał zawsze z naciskiem: „tylko świeżego chleba z najlepszem masłem“.

— To pan ma mieć dzisiaj odczyt? — zainterpelował mnie prosto z mostu.

— Tak jest, ten pan właśnie — wyręczyła mnie gospodyni w odpowiedzi.

— Kiepska spekulacya — zawyrokował. — Przytem nie rozlepiłeś pan żadnych plakatów!... Czyś pan widział, jakie ja walę afisze?...

Pokazało się, iż mam przed sobą w osobie wspaniałego jegomości: antystrytystę,

szczęsnego posiadacza kolekcji małp i dzikich zwierząt.

— Rozlepiam, panie, afisze — o, takie!... — mówił nie ustając. — Przyklejam strowuję moje plakaty na rogu każdej ulicy, — gdzie tylko na murze jest kawałek miejsca na odrobinę klajstru, jazda z afiszem!... Tak się robi, mój panie!... A przytem litery jak największe!... Jak wół!... żeby o kilometr można było czytać!... Są tam także wizerunki dzikich zwierząt.

Zwróciłem mu z lekkim naciskiem uwagę, że odczyt mój traktuje o literaturze pięknej, o sztuce, o rzeczach ducha.

— Gwiżdżę na to wszystko! — odparł z bezgraniczną czelnością. — Co innego, gdybyś pan zechciał przystać do mnie do obowiązku. A trzeba mi właśnie człowieka do objaśniania publice zwierząt. Chciałbym do tych funkcji koniecznie figury obcej tutaj, nieznaney w mieście.

Wylezie znajomy człowiek na deski a tu pół sali w krzyk: — „Ależ to Petersen!... Cóż ten może wiedzieć o zamorskich zwierzętach?!...“

Obróciłem się do dyrektora małą plecyma w niemej pogardzie, czując się zaledo ponad nim wysoko, aby na taką bezczelność odpowiadać.

— Pomyśl pan nad tem — dodał z niezachwianą swobodą. — Rzecz godna zastanowienia. Pięć koron za wieczór.

Na te słowa powstałem z krzesła, nie otwierając ust, i opuściłem piwnicę w głębokim przekonaniu, że nic innego uczynić mi nie wypada. Pan dyrektor bał się oczywiście mej konkurencyi, czując, że całe miasto popłynie rzeką na mój odczyt, więc chciał mnie uczynić nieszkodliwym przez rozbudzenie we mnie łakomstwa na zysk mały, lecz pewny. — Przenigdy! — rzekłem sobie. Nikt mnie nie zdoła skłonić do sprzeniewierzenia

się mojej duchowej misji. Droga moja  
to droga ideału!

\* \* \*

Dzień zbiegł, zawitał wieczór. Wyczyściwszy sobie starannie odzież, przywdziałem świeżą bieliznę i wyruszyłem w drogę do parkowego pawilonu.

Była godzina 6-ta. Po pilnem przestudyowaniu treści odczytu w głowie mej huczała burza tych pięknych, wzniosłe brzmiących słów, jakimi miałem oczarować słuchaczy; przeżywałem już teraz w duszy czekający mnie sukces, nie uważając bynajmniej za niemożliwe, że po prelekcyi druty telegraficzne rozjędzą się na wszystkie strony świata, aby ludzkości obwieścić odniesione przeze mnie zwycięstwo.

Wtem deszcz zaczął padać. Nie był to oczywiście dla mego odczytu zbyt pożądaný rodzaj pogody, ale publiczność z smakiem literackim nie przeleknę się

przecież lada kapuśniaczka. Spotykałem zresztą na ulicach mnóstwo par, które przyciśnięte do siebie biegly szybko pod jednym parasolem. Tknęło mnie tylko, że nie zdążają w tym co i ja kierunku — do pawilonu w parku. Dokąd mogły iść?... Ach, były to zapewne niższe warstwy ludności, motłoch, spieszący do sali robotniczej gapić się na mały.

Sprzedawca biletów znajdował się na posterunku.

— Jest już kto? — zapytałem.

— Jeszcze nie — odrzekł — ale do rozpoczęcia będzie przecie dobre pół godziny.

Wstąpiłem w progi sali, w tę przestrzeń bez końca, w której kroki moje rozlegały się jak tętent kopyt końskich. Miły Boże! gdybyż w tej chwili salę tę wypełniał po brzegi tłum ludzki, głowa przy głowie, kobiety i mężczyźni, oczekujący w naprężeniu ukazania się prelegenta!... Ani żywej duszy.



Przeczekałem te nieskończone pół godziny, lecz nikt się nie zjawił. Wróciwszy do kasyera, spytałem go, co o tem myśli. Odpowiedź pachła trochę rezerwą, pocieszyła mnie jednak mimo tego. Mnie- mał, że wprawdzie stan pogody nie bar- dzo sprzyja odczytowi, bo ludzie nie lubią wychodzić z domu, gdy deszcz, w każdym razie jednak — zakończył — większości słuchaczy oczekiwać należy dopiero teraz, w ostatniej chwili.

Pograżyliśmy się w oczekiwaniu.

Nakoniec ukazał się jeden słuchacz, ociekający deszczówką i zadyszany z po- śpiechu, który nabywszy bilet za pół ko- rony, wszedł do środka.

— Zaczynają się wreszcie schodzić — odezwał się kasyer z obiecującym ruchem głowy. — Przeklęty narów ludzki walenia się całą kupą naraz przed samem za- częciem.

Czekamy dalej. Nikt więcej nie przy- szedł. Za to jedyny mój słuchacz zde-

cydował się opuścić salę, z uwagą na ustach:

— Cóż za psi czas!

Był to mecenas Karlsen.

Byłbym się chętnie pod ziemię zapadł ze wstydu.

— Boję się, że nikt już dzisiaj nie przyjdzie; — zauważył — leje jak z cebra.

A zobaczywszy moją skrzywioną minę, dodał:

— Barometr to zresztą przepowiedział, spadając na łeb na szyję. Dlatego głównie odradzałem panu dzisiejszy wieczór.

Lecz kasyer chciał jeszcze ciągle podtrzymać we mnie ducha.

— Zaczekajmyż jeszcze z pół godziny. Trudno przypuścić, żeby się zejść nie miało bodaj dwadzieścia, trzydzieści osób.

— Wątpię — oświadczył mecenas, zapinając surdut. — Ale, ale, żeby nie zapomnieć, — zwrócił się w moją stronę — pan nie jest nam naturalnie nic winien za lokal.

Uchylił kapelusza, skłonił się i poszedł.

Trwaliśmy z kasyerem dalej na stanowiskach, omawiając wszechstronnie fiasko. Położenie było fatalne. Czuję się dotkliwie upokorzonym przez to niepowodzenie. Nadto adwokat zostawił w kasie swoje pół korony, które mu właściwie zwrócić należało, co trochę wyglądało na jałmużnę. Chciałem za nim pobiedz z tą kwotą, kasyer jednak zatrzymał mnie:

— Te pół korony ja wezmę, a w takim razie należeć mi się będzie od pana tylko pół jeszcze.

Dałem mu mimo tej rady całą. Dotrzymawszy mi tak mężnie placu, zasłużył sobie w zupełności na ten dowód uznania. Podziękował mi za nie serdecznem uściśnieniem ręki, odchodząc.

Powlokłem się ku domowi niby pobity zapaśnik. Rozczarowanie, blamaż, obezwładniały mnie formalnie, to też szedłem przez ulice jak automat, nie

wiedząc którądy, ni dokąd zdążam. Na domiar niedoli nie miałem już teraz o czem wrócić do Chrystyanii.

Deszcz nie przestawał lać.

Zaszedłem przed jakiś duży dom. Z ulicy widać było przez bramę oświetlone okienko kasy z biletami. Był to gmach stowarzyszenia robotniczego. Od czasu do czasu wpadał ktoś z mroków nocy w sień, kupował bilet u okienka i wstępował do sali przez wielkie drzwi. Zapytałem kasyera, ile też ludzi może znajdować się na widowisku. Sala była prawie wyprzedana.

Ten nędznik, małpi dyrektor, pobił mnie zatem z kretesem!

Wróciłem chyłkiem do piwnicy. Nie jedząc, nie pijąc, poszedłem w najgłębszym milczeniu spać.

Wtem w nocy budzi mnie nagłe pukanie w drzwi i mężczyzna jakiś wkra-  
cza do pokoju. Miał w ręku płonąca

świecę, poznałem w jej blasku „pana dyrektora“.

— Jakże tam z pańskim odczytem? — pyta bez wstępów.

W innych okolicznościach byłbym go pewno za drzwi wyrzucił po podobnem pytaniu, w tej chwili jednak zanadto byłem przybity na krok tak wielkiego napięcia, odparłem więc tylko, że odczyt odwołany.

Zaczął się śmiać.

Objąsniałem go coprędzej, że pogoda nie była tego dnia sprzyjającą wykładom z dziedziny belletrystyki. Powinien to przecież zrozumieć.

Śmiał się ciągle.

— Żebyś pan tylko wiedział, jak kolosalnie barometr spadł! — dodałem.

— A u mnie sala była wysprzedana — odrzekł z fantazyą i, przerywając śmiech, przeprosił mnie za tak spóźnione odwiedziny, przyszedł jednakże z pewną propozycją.

Nastawiam uszu: ofiarował mi po raz wtóry engagement wywoływacza zwierząt w czasie przedstawień.

Drażnięty do żywego taką czelnością, poprosiłem go jaknajbardziej stanowczo, aby mi dał święty pokój i nie rabował mi nocy.

Zamiast obrazić się i odejść, rozsiadł się wygodnie na brzegu mego posłania, z płonąca świecą w ręce.

— Możemy przecie pogadać o interesie — zauważył. Wyjaśnił, że obywatel drammeński, zaangażowany przez niego do wywoływania zwierząt, jest do tej funkcji osobistością zbyt znaną. On sam — dyrektor — zdobył powodzenie bajeczne produkcjami antispirytystycznymi, lecz recytator popsuł mu cały efekt wieczoru.

— Patrzajcie!... Björn Petersen!... — wołano zewsząd, — a tyś skąd wytrzymał tego borsuka?

Kiedy zaś Björn Petersen zaczął w myśl programu objaśniać, że to nie borsuk,

tylko hyena cętkowana z Buszlandu, która pożarła trzech całych misyonarzy, ludzie podnieśli najokropniejszy w świecie hałas, wrzeszcząc, że chyba z nich kpi!

— Nie mogę tego pojąć — zachodził w głowę dyrektor. — Umalowałem mu przecie twarz całkiem czarno, wsadziłem mu na głowę perukę a ci go i tak poznali.

Ponieważ wszystkie te rzeczy nie obchodziły mnie ani trochę, obróciłem się bez ceremonii do ściany.

— Rozważ pan to jeszcze w każdym razie — zachęcił mnie przed odejściem. — Jeżeli się pan spiszesz jak należy, gotówem się odważyć na całe sześć koron.

Wytrwałem w milczeniu, nie mogąc się przecież zniżyć do tego rodzaju targów. Tkwi w człowieku do dyabła iskierka honoru.

\* \* \*

Nazajutrz rano dyrektor, niezrażony nocnym niepowodzeniem, wpadł do mnie z prośbą o przejrzenie przynajmniej tekstu wykładu, traktującego o zwierzętach. Dwie korony za poprawienie błędów i zaokrąglenie stylu, gdziebym jedno i drugie uważał za stosowne.

Podjąłem się tej roboty mimo wewnętrzznego buntu, perswadując sobie, iż wyświadczę w ten sposób bądź co bądź człowiekowi temu dobrodziejstwo, a nadto rzecz się przecież mieści do pewnego stopnia w ramach usług dla literatury. Zastrzegłem sobie tylko, aby współpracownictwo moje pozostało najściślej tajemnicą.

Poświęciwszy na pracę tę dzień cały, wystylizowałem od początku do końca zupełnie nowy tekst, wkładając w opisy skarby dowcipu i uczucia, i wzbogacając suto część epicką, przyczem robota przykuwała mnie do siebie coraz mocniej. Był to w rzeczy samej kunszytek w swoim



rodzaju: tyle efektu wydobyć z kilku nędznych bestyj. Kiedym wieczorem odczytał dyrektorowi me dzieło, oświadczył bez ogródek, że jak żyje nie zdarzyło mu się spotkać z takim arcydziełem wymowy. Jak wielkie wrażenie wywarł na nim mój elaborat, dowodem, iż wręczył mi à conto honorarium trzy korony.

Ten objaw uznania wzruszył mnie i porzepił we mnie ducha. Nowe nadzieje w kierunku mojej kariery literackiej poczęły we mnie kiełkować.

— Żeby mi się tylko udało wynaleźć jeszcze dzielnego człeczyne, coby mi te objaśnienia wygłosił — wzdychał dyrektor. — Ale takiego nie ma tu zdaje się wcale.

Zafrasowała mnie ta kwestya. Byłoby rzeczywiście szkoda powierzać tak wyborowy tekst łapom pierwszego lepszego Bjørna Petersena i narażać go, skutkiem nędznego wygłoszenia, na mniejsze lub

większe fiasko. Ciężko mi było pogodzić się z tą myślą.

— Pod pewnymi warunkami mógłbym ostatecznie rzecz sam wygłosić — bąknąłem po chwili.

Dyrektor przysunął się z krzesłem.

— Co to za warunki?... Dam panu siedm koron.

— Toby mi wystarczyło... Główna rzecz jednak, aby osoba mowcy pozostała w najściślejszej tajemnicy pomiędzy mną a panem.

— Przyrzekam to panu.

— No bo pojmujesz pan, że człowiek mojego zawodu nie może się puszczać na wygłaszanie objaśnień o dzikich zwierzętach!

Pojmował to w zupełności.

— W takim razie bądź pan spokojny, oddam panu tę przysługę.

Dyrektor zasypał mnie podziękowaniami.

Z uderzeniem godziny 7-ej udaliśmy

się obaj do stowarzyszenia robotniczego. Musiałem obejrzeć zwierzęta przynajmniej zgrubsza.

Pokazało się, że są tam dwie małpy, żółw, niedźwiedź, dwa młode wilki i borsuk.

O wilkach i borsuku nie było w mych objaśnieniach ani słoweczka, tem mniej o hyenie z Buszlandu, o sobolu, i kunie „wspominanych już w Piśmie Świętem“, jak również o straszliwym amerykańskim szarym niedźwiedziu. Na konto żółwia natomiast udało mi się ukuć nader miśtorny dowcip, że jestto jegomość bardzo wybredny, nie jadający nic innego prócz zupy żółwiowej.

— A gdzie sobol i kuna?... — zapytałem.

— Tutaj — odparł dyrektor, pokazując mi klatkę z młodemi wilczkami.

— A hyena?

Na to zapytanie wskazał mi, nie namyślając się, borsuka, i dodał bez zająknienia:

— Oto hyena.

Poczerwieniawszy jak burak z irytacji, oświadczyłem:

— Nie, panie, ani gadania o tem. Ależ to czyste oszustwo! Ja muszę wierzyć w to, co będę wygłaszał. Muszę być o tem niezbiecie przekonanym.

— Nie pokłócimy się przecież o taką bagatelkę!...

Poszedł w kąć po flaszkę z wódką i zaproponował mi łyczek.

By mu okazać, że nie mam nic przeciwko jego osobie, lecz tylko przeciw jego nieczystym praktykom, przyjąłem kieliszek i wychyliłem. Zaraz po mnie uczynił tożsamo.

— Nie opuszczajże mnie pan w nieszczęściu!... — nalegał. — Tekst pański jest taki wspaniały, zwierzętom też nic nie brakuje, przecie pan widzisz, że nic... o! jaki ogromny niedźwiedź!... Wyrecytuj pan tylko swoje objaśnienia a wszystko pójdzie jak z płątka.

Na widok pierwszego gościa, zjawiającego się w sali, dyrektor począł się niepokoić. Los jego spoczywał w moich rękach. Naturalnie korzystałem z mej mocy z miarą. Zresztą zdawałem sobie najzupełniej sprawę z niepodobieństwa skutecznienia w mym wykładzie zbyt licznych zmian w przeciągu tak krótkiego czasu; prócz tego nie powiodłoby mi się wlać tyle sentymentu w opis dobrodusznego borsuka, co w przedstawienie życia i obyczajów krwiożerczej hyeny. Więc zmiany mogłyby tylko obniżyć literacką wartość mego utworu, czego nie chciałem brać na mą odpowiedzialność.

Kiedym tę rzecz zaczął wykladać dyrektorowi, zrozumiał natychmiast i nalał mi jeszcze jeden kieliszek, który bez wahania wypłem.

Widowisko zaczęło się wobec wysprzedanej sali. Antispirytysta produkował sztuki, którychby sam szatan objaśnić nie potrafił: wyciągnął np. z własnego

nosa pół tuzina chusteczek, w cylindrze jakiegoś starego kawalera na samym końcu sali znalazł dziecko w powijakach, kazał po scenie tańczyć stolikowi, którego nie tknął nawet palcem, nakoniec przeobraziwszy się w ducha, wsiąkł w oczach widzów w deski scenicznego podium. Oczarowana tem wszystkim publiczność tupiała nogami jak wściekła.

Przyszła kolej na zwierzęta. Dyrektor wprowadzał je osobiście jedno po drugim na front sceny, ja zaś miałem objaśniać okazy.

Jasnym mi było, że o równie potężnym sukcesie jak dyrektorski nie mam co i marzyć, żywiłem jednak w głębi duszy nadzieję, że inteligentniejsza część publiczności zainteresuje się moim występem, jak na to zasłużył.

Po zaprodukowaniu żółwia mając mieć w dalszym ciągu z samymi tylko lądowymi bestyami do czynienia, wziąłem sobie za punkt wyjścia dla moich wy-

wodów Noego, który zabrał do arki po parze z każdego rodzaju zwierząt, niezdolnych stale przebywać w wodzie. Punkt ten widowiska nie zrobił jednak wrażenia, pomimo moich wysiłków humor opuszczał publiczność. Ani sobol, ani też kuna nie zdołały wzbudzić godnego siebie podziwu, mimo mego krotofilnego nadmienienia, w jaką to masę tych ślicznych zwierzątek ubrana być musiała królowa Saba w godzinie swoich odwiedzin u Salomona. Czułem zresztą, że dobrze mówię, a rozgrzana biblijnością tematu oraz dwoma kieliszkami wódki wymowa moja z każdą chwilą nabierała barw, stawała się coraz kwiecistszą; porzucając pisany tekst, stwarzałem na oczekaniu rzecz nową, a kiedym skończył, liczne głosy z audytoryum huknęły „brawo!” i cała sala zatrzęsała się od oklasków.

— Tu za firanką stoi sznaps! — szepnął mi w ucho dyrektor, bywalec.

Zaraz po zejściu ze sceny natrafiłem

na flaszkę z wódką, przy niej kieliszek, i zrobiwszy użytek z obojga, usiadłem na chwilę na krześle, aby nieco odpocząć z emocyi.

Tymczasem dyrektor wprowadził przed publiczność nowe zwierzę i czekał tylko na mnie. Palnąłem drugi kieliszek. Ponieważ czekanie zaczęło mu za długo trwać, wziął na odwagę i począł objaśniać wprowadzony egzemplarz w swoim niemożliwym żargonie, prezentując publiczności hyenę... Wtem pomylił się i zamiast „hyena“ powiedział: borsuk... Porwany sprawiedliwym gniewem na tę fuszerkę, wpadłem na scenę i odsuwając dyrektora na drugi plan ruchem ręki, sprostowałem przedewszystkiem, z miejsca, jego niefortunny lapsus, oświadczając mu w oczy, przed całą publicznością, którą męskość mego wystąpienia przerzuciło całą na moją stronę, że chyba nigdy w życiu hyeny nie widział, kiedy ją może mieszać z borsukiem, i począłem w jaskrawych bar-



wach kreślić zbójecki żywot tej potwory zamorskiej.

Wódka zrobiła swoje, podnosząc moje natchnienie na wyżyny zawrotne. Czułem, że płynące z mych ust wyrazy brzmią coraz gwałtowniej, coraz są czerwieńsze, „hyena“ zaś, stojąc cierpliwie u dyrektor-skich stóp, błyskała dokoła więcej ciekawie niż po zbójecku małemi jak paciorki ślepkami.

— Trzymaj ją pan mocno! — krzykną-łem na dyrektora w rozpędzie orator-skiego zapału. — Widzę, że się czai do skoku... krew moja jej pachnie!... Jeżeli się, uchowaj Boże! wyrwała, miej pan pistolet w pogotowiu!...

Dyrektor, któremu zdenerwowanie moje musiało się udzielić, przyciągnął „hyenę“ mocniej, taśma, nie wytrzymawszy napięcia, pękła a zwierzę przesmyknęło mu się w tej samej chwili między nogami.

Na ten widok pisk kobiet i dzieci wzbił się pod strop sali, połowa publiki ze-

rwała się z miejsc. Był to moment prawdziwie dramatyczny. W trakcie tego „hyena“ drapnęła galopem w poprzek sceny do swojej dziury, dyrektor zaś zatrzasnął za nią czempredziej drzwiczki z hałasem.

Odetchnęliśmy wszyscy z głębi piersi, ja zaś dokończyłem mego wykładu w kilku słowach. Tym razem — mówiłem — zdołaliśmy uniknąć nieszczęścia, na przyszłość wszakże nie będzie się igrać z niebezpieczeństwem i potwór uwiązany zostanie na gruby, mocny łańcuch. Z wdzięcznym ukłonem zniknąłem z oczu publiki.

Jak teraz nie hukną oklaski!... Myślałem, że ogłuchnę od wrzasku nawoływań, domagających się gwałtem ukazania się mowcy... Mowcy!... Wyszedłem naturalnie — po nowy wybuch braw. Oklaski zaś nie przestały brzmieć, dopokąd ostatni z widzów nie zniknął za progiem sali.

Dyrektor był bardzo kontent i szczerze

mi dziękował za tak skuteczne współ-pracownictwo. Rachował odtąd z całą pewnością na szereg wieczorów wysprzedanych.

Kiedym wychodził do domu, postać jakaś, jakby oczekująca na mnie, zastąpiła mi drogę. Był to mój kasyer z pawilonu, zachwycony widowiskiem, do którego świadków należał, oczarowany zwłaszcza mym oratorskim talentem, na podstawie którego twierdził, że nie powinienem bezwarunkowo zrzekać się odczytu w parkowym pawilonie, który właśnie teraz, kiedy się świat dowiedział, co wart jestem, najlepsza będzie okazja zapowiedzieć. Notabene: nie zawadziłoby dodać do prelekcyi porywający ustęp o hyenie, zwłaszcza, gdybym ją samą przy tej sposobności *in natura* zademonstrował.

\* \* \*

Czy da kto wiarę, że ten brudas dy-

rektor nie chciał mi najbliższego dnia wypłacić honorarium, jeżeli się pisemnie nie zobowiązę do dalszego udziału w jego produkcjach, odsyłając mnie, jeślibym się wzbraniał, na drogę sądową i sam mi nią grożąc?!

Co za oszust!

Po długim targu dopiero udało mi się dojść z nim do porozumienia i wymódził dopłatę pięciu koron, co z otrzymanymi już trzema czyniło razem ośm, potrzebnych mi na powrót do Chrystyanii. Zastrzegł sobie jednak prawo zatrzymania rękopismu. O ten punkt spieraliśmy się najdłużej, nie miałem bowiem ochoty profanować płodu mego ducha zostawianiem go w takich rękach. Że jednak z drugiej strony był on jego własnością, ponieważ mi zań zapłacił — ustąpiłem, widząc, jak niebywałą cenę przykłada do tej pracy.

— Mówię panu, że nie słyszałem jak żyję takiego przemówienia!... — zapewniał

mnie. — Bóg wie ile księżych kazań nie zrobiło na mnie ani przez pół tego wrażenia, co pańskie słowa wczoraj wieczór.

Nie mogłem się wstrzymać od okrzyku:

— A widzisz pan?!... Oto jest władza literatury nad umysłami.

Ostatnie to były wyrazy, jakie do niego wyrzekłem; południowy pociąg wiozł mnie już z powrotem do Chrystianii.





## TREŚĆ.

	Str.
Niewolnicy miłości . . . . .	1
Arcyfilut . . . . .	19
Głos życia . . . . .	61
Wyprawa z prelekcją	73







<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>

300 -  
et

<http://rcin.org.pl>

K.

749